Nr. 7. Lwów, dnia 1. Lipca 1882. Rok V.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

ZNIKANIE NIEKTÓRYCH ZWIERZĄT

PRZEZ

Artura Janowskiego.

(Dokończenie).

Mniej zagrożone są w swym bycie inne gatunki zwierząt mięsożernych, częściowe jednakże ich ustępowanie w pewnych okolicach, w miarę powiększającej się ludności i rozszerzania uprawy rolnej, jest widoczne. W skutek bowiem tego, zewnętrzna powierzchnia ziemi zajętej pod uprawę, przedewszystkiem oczyszczoną być musi z niedostępnych teraz i przestronnych zarośli, dających schronienie licznemu, różnorodnemu zwierzostanowi, a tem samem wpłynąć musi na jego zmniejszenie się liczebne, lub zupełne ustąpienie w inne okolice. Syrya dopóty tylko nie zaludnia się, dopóki zostaje pod rządem tureckim, który swojego systemu rządzenia nie zmieni i zmienić nie może. Z chwilą jednak przejścia pod inne rządy musi zaludnić się w krótkim czasie, dla tego, że nowy rząd znajdzie się spowodowanym we własnym interesie nie tylko zachęcać, ale ułatwiać do pewnego stopnia przesiedlenie się tej części swoich krajowców, która z przyczyny przeludnienia nie znajdując w ojczyźnie dostatecznych środków utrzymania się, spostrzeże je w prowincyi nowej, przynęcającej wielką żyznością swojej ziemi, zdrowym klimatem i uśmiechającą się przyszłością, przyczem umiejętność, przemysł, handel, administracya i armia, przyślą tu także swoje czynniki, że prócz tego cywilizacya znosząc na wstępie wszystkie ujemne przyczyny, które nie tylko sprzeciwiają się zaludnieniu kraju, ale przeciwnie wyludniają go systematycznie, spowoduje szybkie podniesienie się miejscowej ludności. Wtenczas wszystkie te obszary, które obecnie stanowią dziki zwierzyniec, zamienione zostaną w żyzne uprawne role, a z odmianą fizyczną zewnętrznego oblicza ziemi, teraźniejszy zwierzostan utraciwszy warunki swojego bytu ustąpić z niej musi koniecznie. Zamiana wielkich teraźniejszych powierzchni nieużytków w łany uprawne dokonaną zostanie przedewszystkiem stosownie do geograficznego położenia kraju i fizycznych zdolności ziemi. Całą długość zachodniej granicy Syryi oblewa morze, całą prawie długość środka kraju przerzynają pasma gór, za któremi znowu ciągnie się pustynia Syryjska ku Eufratowi i granicom Mezopotanii. Otóż wielki pas ziemi rozmaitej nader szerokości, zawarty pomiędzy morzem a pasmami gór, orzeźwiony w całej długości licznemi rzekami i strumieniami, posiadający oraz znamienitą żyzność produkcyjną, wejdzie na pierwszy plan przyszłych działań ekonomicznych. Lemiesze i topory poszarpią dziewicze szaty, któremi przyroda tę ziemię ustroiła. Wtenczas ustąpią ztąd *felis longicaudata*, kot okazały i bardzo piękny, obecnie nawet rzadki i najmniej

jeszcze poznany, *felis chaus*, który trzyma się niższych poziomów i dolin wilgotnych i zarosłych Ten ostatni stanowi niezaprzeczony dowód prawdziwości powyższego zapatrywania. Po ostatniej wojnie rząd turecki zanieczyścił niektóre okolice Syryi Czerkiesami. Dziki ten żywioł nie znajdując tu obszernego pola do praktykowania ulubionego przezeń rzemiosła, zabrał się w części do uprawy ziemi. Ci, którzy zostali osiedleni w nadmorskiej okolicy małego miasta Dżebleh, wycięli zarośla, w których felis chaus był znacznie rozpowszechniony, obecnie ani jednego kota tego gatunku już tam nie ma. Pomiędzy ujściami rzek Nahr-el-Snobar i Nahr-el-Kebir ciągną się niziny zarosłe i w porze deszczów zalane, w których f. chaus parę lat temu niemniej licznie zamieszkiwał. Mieszkańcy wsi Bassa, Hinade, Snobar, celem powiększenia użytków ekonomicznych, w znacznej części wypalili i wycięli niedostępne zarośla, w skutek czego kot ten stał się już nie mniej rzadkim.

Częściowa kultura przymusić może tylko do przeniesienia się pomienionych gatunków z jednych okolic w inne, ogólna zaś spowodować może zupełne zniknięcie onych z kraju. Nie obawia się skutków kultury: *felis caligata*, *f. caracal*, i wszystkie gatunki z familii *Canii*. Pierwszy z wymienionych dopiero kotów również jako szakal i lisy, więcej niż w zaroślach przemieszkują obecnie w norach, które same kopie, lub w rozpadlinach skał, starożytnych rozwalinach miast i zamków i tym podobnych kryjówkach. Karakal trzyma się w niższej strefie górzystej, lubi oraz miejscowości zadrzewione. *Hyena striata*, upowszechniona w Syryi, przenosi góry nad równiny i chętniej niż w zaroślach zamieszkuje towarzysko częstokroć w kawernach skalistych lub niedostępnych pieczarach. Wilk wszędzie dość pospolity przenosi wąwozy i jary górzyste nad równiny. Nareszcie z następnych *(plantigrada)* niedźwiedź, *(ursus syriacus)* tam tylko na niższe miejscowości zstępuje, gdzie znajdują się jeszcze gęste i niedostępne lasy. Z okolic bezleśnych ustąpił, lub stał się rzadkim.

Zwierzęta przeżuwające *(ruminantia)* przedstawiają znowu wyraźne ślady swego ustępowania. Znikły tury, wspaniały ten byk zapewnie istnieć musiał szczególnie w wielkich dolinach rzek spadających ze źródeł Tauru i na bliższych poziomu płaskowzgórzach żyznych i w pastwiska bogatych. Od wieków nie ma już jego śladu, tylko łańcuchy gór ojczystych nie mogąc ocalić gatunku, jego imię ku wiecznej pamięci przechowały. Historya i dzieła starożytnej sztuki dostarczają niemniej wiadomości nie zawsze jasnych i niewątpliwych. Ograniczyć się tu wypada na własnych tylko spostrzeżeniach, jakie pod tym względem miałem sposobność poczynić. W Lattakii istnieje dom należący do Dra Melcoum Armeńczyka, postawiony na rozwalinach starożytnej świątyni pogańskiej. Niedawno poprzedni właściciel tego domu Turek odkrył przypadkiem dość obszerne pod nim podziemia, kamieniem ciosowym wyłożone, w których znalazł szczero-złoty posąg cielca, kilka innych przedmiotów do spełniania ofiar używanych, popielnicę i słup kamienny gruby, półtora metra wysoki. Cała ta świątynia znajduje się pod domem, tylko dwie jej ściany wychodzą na zewnątrz onego i na tych ścianach płasko-rzeźbione są w pewnych odstępach głowy cielców połączone łańcuchami gierland także rzeźbionych. Przedmioty kosztowne szczęśliwy znalazca, niedbający o archeologiczne ich znaczenie, natychmiast zamienił na liwry, ale rzeźby na ścianach zewnętrznych istniejące dotąd przekonywują, że starożytny artysta modelował pospolitą rassę bydła domowego, któremu kto się kłaniał, Syryjczycy, Egipcyanie, Chaldejczycy, Fenicyanie czy Hebrajczycy, o tem wiedzieć nie można dla braku napisów. Wiadomo zaś, że ludność pomienionych plemion zamieszkiwała w Syryi i jednakowo miała szczególny pociąg do cielców. Mnie zdarzyło się nabyć od Ausarów wykopane przez nich przedmioty starożytne, pomiędzy którymi znajdował się posążek cielca niezgrabnie odlany z miedzi. Posążek ten wyobraża rasę domową. W roku 1878 grabarze odkopali na jednym ze starożytnych cmentarzy Lattakii, gdzie Turcy i obecnie swych umarłych grzebią, marmurowy sarkofag wielkich wymiarów, dobrze zachowany, interesujący bardziej emblematami, niż artystycznem wykonaniem. Wieko sarkofagu służy za podstawę snycerskiej grupie, wyobrażającej męża atletycznych kształtów, na poły leżącego i opartego jedną ręką o wezgłowie, w objęciach Diany. Cztery rogi sarkofagu ozdobione popiersiami lwów, po czterech bokach są płaskorzeźby, na lewym dłużnym boku bieży jeleń, ścigają go dwa psy, a za nimi pędzi łowiec na rumaku z gotowym w rękach do wypuszczenia strzały łukiem. Na prawym dłużnym boku ucieka byk z głową ku ziemi zniżoną, znowu dwa psy za nim i łowiec konny z podniesionym dzirytem. Otóż postać i formy tego byka różnią się bardzo od postaci i form rasy domowej i przypominają, że starożytny artysta modelował tura. W roku 1879 podobnym sposobem znaleziono inny sarkofag na starożytnym cmentarzu małego miasta Dżebleh, na którym znowu odrzeźbiony był wizerunek tura. W roku 1880 exploatując dolinę Orontu (Nahr-el-Assy) i dopływów tej rzeki, miałem sposobność oglądać trzeci, znakomicie wspanialszy od dwóch poprzednich starożytny sarkofag z białego marmuru, który nurt rzeki zmieniając nagle kierunek i obrywając znacznie wysokie brzegi odkrył w odległości pół godziny drogi od m. Antyochii. Była tylko część dolna sarkofagu dobrze zachowana, z bogatą i niepospolitym talentem wykonaną rzeźbą. Na jednym z dłuższych boków, obrzeżonych pysznymi festonami i gierlandami, lew rzuca się na tura i rozdziera go. Prócz tego oglądając przedmioty starożytne u p. Frederica Poché, konsula Stanów Zjednoczonych Ameryki w Alepie, widziałem agat z wizerunkiem tura znamienicie wyrzniętym. Inny kamień opal z pięknie wyrzniętą głową tura znajduje się w zbiorze starożytności p. Aleksandra Bulos w Jaffie. Powyższe przykłady przekonywają, że jeżeli starożytni artyści dokładnie odróżniali tura od rasy domowej, musieli go wprzód poznać w przyrodzie, inaczej bowiem niezdołaliby z taką dokładnością odwzorować jego wizerunku. Z innej strony ktokolwiek zastanawiał się nad pomnikami Syryi, niepodobna aby nie dostrzegł, że starożytna sztuka tego kraju, jeżeli pozwala sobie niekiedy na kształcenie form fantastycznych, jakie nigdy nie istniały w przyrodzie, to znowu modelując formy zwierzęce na monetach, kamieniach, sarkofagach, posągach, świątyniach i ozdobach najokazalszych budowli przepychu ludzkiego, nigdy nie szukała zakrajowych wzorów. Fauna krajowa wystarczyła jej na wszystko.

Nadaremnie byłoby przekonywać do jakiego stopnia zwierzostan płowy był w starożytnych czasach obfity i liczebnie i w gatunki w lasach Syryi, skoro tego dowodzi ówczesna niezmierna liczba lwów, panter, i innych mięsożernych zwierząt, które utrzymanie swoje głównie z tego zwierzostanu czerpały, prócz tego, że i ludzie zeń użytkowali. Przejrzeć raczej należy niektóre szczegóły. Już poprzednio uczynioną została wzmianka, że w łańcuchach Tauru i w górach Libanu znajduje się jeleń, którego gatunek podobno jest dotąd niewiadomy. W kierunku mniej więcej prostopadłym do pomienionych gór ciągną się dwa systemy rozmaicie rozgałęzione gór Ansairis dżebel, czyli Nesseiris-dżebel przez całą prawie długość kraju. Dla czego w tych środkowych górach spostrzega się nieobe-

cność tego zwierzęcia? Dotąd przynajmniej nieudało mi się wyśledzić jego niewątpliwą tu bytność, prócz opowiadania miejscowych myśliwych, za wiarogodność którego przed dokładnem skonstatowaniem ręczyć nie można, że w lesie mało przystępnym, w okolicach pomiędzy m. Trypoly a m. Hamah położonym, znajduje się jeleń. Las ten położony jest w środkowej części Syryi. Jeżeli więc rzeczywiście jeleń nie istnieje w Ansairis-dżebel, to spostrzegając go w górach wyżej wymienionych, z których pierwsze ciągną się na północnych, drugie na południowych krańcach, przychodzi się do wniosku, że w górach Ansairis-dżebel, które przedstawiają ku temu wszelkie przyjazne warunki, jeleń zarówno istnieć musiał, i że tylko lasy, które jeszcze istnieją w górach tamtych, zdołały go zatrzymać od dalszego ustępowania; gdy tymczasem wytępienie lasów w Ansairis-dżebel, jest właśnie przyczyną zniknięcia z nich jelenia. Jeżeli zaś opowiadanie strzelców tureckich jest prawdziwe, w takim razie jeleń znajdujący się w lasach pomiędzy Tripoly i Hamah, jakby na jakiej wyspie, byłby żyjącym dowodem prawdziwości powyższego przypuszczenia. Nareszcie wizerunek jelenia dokładny znajdujemy wszędzie na pomnikach środkowej Syryi, co przekonywa, jak dalece w starożytności gatunek ten był znany w tej części kraju. Najświeższy dowód bytności jelenia w Syryi w epokach sięgających najwyższej starożytności stanowią płaskorzeźbione bloki granitowe w dolinie rzeki Kara-su, na których wizerunek jelenia znajduje się doskonały, a brak inskrypcyi przekonywa niemniej jak sama rzeźba, iż są dziełem najdawniejszych wieków. Bloki te w roku 1881 obejrzane zostały przez członków lwowskiego Towarzystwa łowieckiego.

Sarna *(Cervus capreolus)* wyraźniejszy jeszcze przedstawia dowód, gdyż sprawdziłem jej bytność w zniszczonych lasach na Budziaku i Bassit, oraz Sahjun, miałem ztąd ubite osobniki, przytem znajduje się w lasach pod Hamah położonych. Spotyka się niemniej sarnę w północno-wschodnich ramionach Dżebel Akry, pochylających się ku Suedich i Antyochii. Pozyskałem nawet kilka jej rogów spruchniałych, wykopanych przypadkowo z ziemi, w miejscowości mało zaludnionej, gdzie lasy do koła od lat dawnych są wytępione. Takie dowody są najtrudniejsze w tej krainie, gdzie sępy, hyeny i negocianci wydzierają sobie znalezione rogi i kości. Rogi te przekonywają, że przed wytępieniem lasów sarny tam istniały.

Daniel *(Cervus dama)* przytrzymuje się tu na gorącym uczynku ustępowania. Od rzeki Nahr-el-Kelb i Anti-Libańskich źródeł Orontu kraj opisany tą rzeką ostatnią, aż do jej ujścia u podnóży Dżebel-Akry, nieposiada już danieli. Po drugiej jednak stronie doliny Orontu, od ujścia tej rzeki, ciągną się i grupują pasma Dżebel-Achmar, góry czerwone, posępne, nowonarodzonemi, nisko z morza nadciągającemi szaremi chmurami czasem osłonięte, lecz wewnątrz posiadające widoki i krajobrazy żywo wzięte z dziedzictwa pierwszych rodziców rodzaju ludzkiego. W tych górach, które znaczną część kraju zajmują, niema ani wiosek, ani ludzi, na zewnętrznych tylko stokach gdzieniegdzie osiedlił się dawniej dziki turkoman, a świeżo jeszcze dzikszy czerkies. Otóż w tych ustroniach bezludnych, które do dziś przechowały rozwaliny wielkich miast i zamków, odbywając w miesiącu Lipcu 1880 roku bezdrożną podróż z Antyochii ku Alexandrecie, odpoczywałem z trzema towarzyszami w olbrzymiej framudze skał, piętrzących się nad nami i otaczających dziwnej piękności rozległe płaskowzgórze półeliptycznym prawie amfiteatrem. Z piąter skalistych fontanny biją do góry, a woda spadając kaskadami i głuszącym szumem na płyty dolomitowe, jedną część framugi przykrywa ruchomym i przezroczystym welonem i unosi się z szybkością po pochylającym się poziomie płaskowzgórza ku wschodowi. Spostrzegliśmy sześć danieli, które biegły płaskowzgórzem ku szerokiej kaskadzie. Zbliżyły się do nas na 150 mniej więcej metrów. Widzieliśmy je jak piły przezroczyste wody, przechadzały się potem w pobliżu, niektóre wracały i piły powtórnie, wreszcie oddaliły się, obdarzywszy szczególnie mnie przyjemnością, jaką widok wolnych i pięknych istot w przyrodzie sprawić może. Oprócz tego miałem sposobność przekonania się, że daniel znajduje się w górach Dżebel-Achmar, które są najbardziej południowemi pochyłościami i stokami łańcuchów starożytnego Amanus, a teraźniejszego Giaurdahu. Dalej ku północy przeszedłszy szczególnie sławne Pylae Syriae, w granicach Cylicyi, daniel zamieszkuje Giaurdah w znacznej ilości.

W północnych pasmach Giaur-dahu, w okolicy wsi Akbes i w ogólności w różnych grupach Anti-Tauru, znajduje się muflon *(Ovis musimon)*, koziorożec *(Capra ibex)* oraz *C. aegagrus*. Czy te trzy gatunki zamieszkiwały dawniej te same góry ku południowi w granicach Syryi, a tem bardziej czy teraz jeszcze tu znajdują się, wymaga sprawdzenia. To tylko jest pewnem, że gatunki te utrzymują się na grzbietach najwyższych gór i z tych wysokości zstępują niżej za pożywieniem porą zimową, gdy wierzchołki głębszy śnieg przykryje. Bytność tych gatunków w okolicach Bejlan i Alma-dah jest prawdopodobną.

Pozostają jeszcze Syryjskie antilopy, z których jeden gatunek zamieszkuje pustynię i ponad Eufratem, drugi pas kraju nadmorski. Ten ostatni *(Antillope dorcas)*, znajdując teraz schronienie po równinach zarosłych i płaskowzgórzach oraz żyznych podnóżach gór, zdaje się opuszczać okolice, w których rozszerza się kultura rolna, gdyż z postępem takowej liczba tych zwierząt oczywiście zmniejsza się. Można więc przypuszczać, iż wrazie ogólnego rozwinięcia się kultury w pomienionym pasie kraju, gatunek ten jeżeli nie ustąpi zupełnie to znacznie zmniejszony liczebnie zostanie. Szczęściem jest dla niego, że ludność Ansarych z przyczyny przesądów religijnych brzydzi się zwierzyną i nie używa takowej. Muzułmanie zaś nieużywają mięsa z samic.

Z ptaków miejscowych frankolin *(Francolinus vulgaris)* zdaje się być przeznaczonym na wytępienie w pasie nadmorskim. Liczba tego gatunku zmniejsza się widocznie w miejscowościach, w których kultura rolna znaczniejsze czyni postępy. Wyborna przytem zwierzyna, jaką ten ptak daje, znęca myśliwych, strzelają go, łowią młode krogulcami i sokołami, wyszukują jaja. Wielka przytem ilość szakali, lisów, tu i owdzie kotów dzikich i ichneumonów, oraz zwierząt z familii Mustellinae, a nareszcie liczne ptaki drapieżne czyhają zewsząd na ten nieszczęśliwy gatunek ptaka. Obok tego większe niekiedy wiosenne zalewy niszcząc część jaj zbyt wcześnie na nizinach zniesionych, stanowią niemniej ujemny czynnik tępienia. Jeżeli jednak frankolin zniknie z zachodniej części Syryi, to znów we wschodniej nad Eufratem utrzyma się, gdyż tam jest znacznie liczniejszy i nie tak wielu różnorodnym siłom niszczącym ulegać musi.

Powyższy treściwy pogląd, skierowany jest na małą liczbę wybitniejszych gatunków zwierząt, które już opuściły lub przy okolicznościach przeciwnych opuścić mogą faunę Syryi. Z drugiej znów strony jest rzeczą podobną do prawdy, że jeżeli światły rząd urządzi ten kraj stosownie i zaprowadzi w nim ochronę i odnowienie się lasów, w takim razie zwierzęta mianowicie użyteczne w niedługiej epoce na nowo w nich pojawić

się i osiedlić mogą, zwłaszcza że usunięcie się onych, jak się okazuje, nie jest zbyt jeszcze odległe. W ogólności cywilizacya europejska, której tu nie bez pewnych podstaw spodziewać się można, zetrze z oblicza tego kraju wszystkie nadobne rysy dziewiczości, a Syrygę, która jest teraz jeszcze wspaniałym zwierzyńcem przyrody, zamieni w park utylitarny. Wówczas będą chwytać kłusowników, płacić nagrody za uszy szakali i polowanie zamienią w przywilej i monopol!

ŚWIAT SIĘ PSUJE!

PRZEZ

Leopolda hr. Starzeńskiego.

Że świat się psuje, wciąż mówią starzy,
Ja z nich się śmiałem wierząc z pewnością,
Że stary w myślach o czasach marzy,
Które ubiegły z jego młodością.
Ale świat kroczy naprzód do celu
Śmiało, swobodnie, z podniosłem czołem...
Wierzyłem... Jednak po latach wielu
Widzę, że idzie świat błędnem kołem;
I wierzę: słuszność ci starzy mieli,
A że z nich drwiłem, błąd późno czuję,
I wyznam słusznie to powiedzieli:
„Że bardzo, bardzo świat nam się psuje!“
Co było świętem, dziś pogardzone,
Przesądem już się uczciwość staje,
Co krwią i życiem niegdyś kupione,
To za pieniądze dziś się dostaje.
Wszystko za pieniądz — to nasze hasło!
Więc z tego łatwo teraz pojmuję,
Że starzy mówią: „Co piękne, zgasło!
O bardzo, bardzo świat nam się psuje!“
Pieniądz i basta! w tem wartość cała,
O reszcie nie myśl, i pomnij o tem,
Że dzisiaj pora taka nastała,
Że ten świat cały — wielkim banknotem!
Kto w to nie wierzy, z pewnością zginie,
Choć myśli szczytne żywi w swem łonie.
Darmo! kto przeciw prądowi płynie,
Prędzej czy później w nurtach zatonie.

W życiu myśliwca również koleje
Ten prąd nam dzisiaj ciągle przywodzi.
Strzelcom dzisiejszym zbyteczne knieje,
I zwierz, co w kniejach sam się narodzi:
Bażanty pośród remiz chowają,
Kwoczką tych piskląt Czech wyuczony,
I w tych remizach potem strzelają
Czeskie bażancie swojskie kapłony.
A na zające — to świetne łowy,
Gdzie mięsa można ubić najwięcej,
Potem do miasta na plac targowy
Wysłał ze trzysta kilo zajęcy.
Dziś nikt z ogarem nie goni dzika,
Który śród walki dzielnie się sroży,
Z pogonką lepsza pewnie praktyka,
Potem go w Wiedniu sprzedać najdrożej.
Na kłusowników my się żalimy,
Że zwierza biją w zysków zamiarze,
A czymże od nich my się różnimy,
My nie myśliwi — ale handlarze?
Nie przeczę, że to jest pożytecznem,
Że wymaganiom to dziś odpowie,
Przy biedzie naszej jest to koniecznem,
Ale myśliwstwem czyż to się zowie?
Gdy patrzę na ten handel zwierzyny,
Którym łowiecki świat się zajmuje,
Wierzę, że starzy nie bez przyczyny
Mówią: „Myśliwstwo coś nam się psuje!“

A kto za młodu polował z ogary
Komu lat dawnych łowy tkwią w pamięci,
Kto dawnych łowców widział zastęp stary
Tego dzisiejsza rzeź zwierza nie nęci.

Są jednak skarby śród naszej krainy
Tak mało znane! Nimi się podzielę
Z Tobą, gdyś łowcem! Chodź na połoniny!
Na tok, na głuszce! Tam skarbów tak wiele!

Na szczytach Arszyc masz nocleg w kulebie,
Łom starej jodły śród ogniska płonie,
Tam myśliwemu błogo jakby w niebie,
Swoboda dziwna gości w jego łonie.
W około jeszcze śnieg od zimy leży,
Słońca promieniom on dotąd urąga,
Po szczytach jodeł wiatr ze szumem bieży,
I do snów niby nęci i pociąga.
Trzeba pomyśleć naprzód o wieczerzy,
Na żar ziemniaków kilkanaście rzucić,
Jest i wędlina i dzban wody świeżej,
I pieśń myśliwską potrzeba zanucić.
I czegóż więcej? — Już słońce zapada,
Trza iść na podsłuch, bo w tym przyszłość cała!
Jesteś strudzonym? Darmo — trudna rada,
Wstawaj! — na ciągu słomka zachrapała!
Słomko, wędrowcze nasz drogi, wiosenny
Jak na dolinach twój głos nas przenika,
Tak pożądany, taki drogocenny
Jak zakochanym spiewanie słowika.
Przebacz nam słomko, że tu na podsłuchu
Choć tak z was liczne w wieczór ciągną zgraje,
Czekając głuszca, przy myśliwca uchu
Wasz spiew brzęczeniem komara się zdaje.

Już rozstawieni strzelcy na gór stoku
Kir nocny zwolna ścieli się na szczyty,
I bór jodłowy wszystko zakrył oku,
Nad głową tylko jaśnieją błękity.
Cisza! i nawet górski kos świergotek
Umilkł i do snu pod skrzydło skrył głowę,
On, co przez dobę naplótł tyle plotek,
Spoczął — o świcie zacznie plotki nowe.
Cisza! i tylko słomka wciąż zawzięcie
Chrapie nad tobą, nim na żer wyruszy,
Zresztą tak cicho, iżbyś przysiągł święcie,
Iż wkoło ciebie niema żywej duszy.
Nawet szmer wiatru, co jodły gałęzi
Ciągle coś szeptał, jak gdyby zaklęcie,
Umilkł, i stoi jakby na uwięzi,
Wpadł między łomy i milczy zawzięcie.
Wtem szum niezwykły tę ciszę przerywa...
O konar jodły ptak skrzydłem uderza...
To głuszec zapadł! O świcie zaspiewa!
O świcie tutaj powitasz rycerza.
Już wiesz, gdzie zapadł, wracaj do ogniska,
Ale ostrożnie, by niespłoszyć ptaka.
Tę noc spij głuszcu, bo już chwila bliska,
Nie wiesz o świcie sprawa z tobą jaka!

———

Myśliwi idą więc na nocne leże,
Lecz spokój krótki, bo trzeba się lękać,
Aby nie zaspać. Chwil kilka ubieży,
A głuszec zacznie o świcie telękać.
Więc po wieczerzy na łożu z choiny
Nareszcie legła już gromada nasza,
Lecz zasnąć trudno z nieznanej przyczyny.
Głuszec skrzydłami sen z powiek odpłasza.
Choć kto zadrzemie, po chwili się zrywa
I budzi drugich, łoże swoje sprząta —
„Wstawajcie, czas już, wnet głuszec zaspiewa!“
Chwyta zegarek. „Ej nie! to dziesiąta!“
I znów chce zasnąć, lecz już wszyscy wkoło
Zbudzeni w ogień dokładają kłody,
I tak w kulebie gwarno i wesoło,
Jakby studentów był w niej zastęp młody.
Sypią się żarty i psoty i śmiechy,
To znów piosenka figlarna wionęła.
Pośród zabawy i głośnej uciechy,
Śród bezsenności noc jak sen minęła.
Już trzecia blisko! Każdy za broń chwyta,
I jakby widmo w otchłań boru tonie,
Gdzie iść, wie dobrze, nikogo nie pyta,
A serce jakby młotem tłucze w łonie.
Gdzie przed wieczorem głuszec zasadzony,
Tam bez Ariadny nitki trafi łowiec!
Zkąd w łowcu każdym taki spryt wrodzony?
Ludzkości mądry badaczu odpowiedz!
Stój! Zatelękał! Teraz grać zaczyna,
Ale tak cicho! Głuszcu powiedz czemu
Spiewasz tak skromnie, jakaż to przyczyna,
Że brak rozgłosu jest spiewu twojemu?
Tyś nadto skromnym, a gór królem przecie,
Dźwięk twego głosu — perły, diamenty,
Z tobą tak bywa, jak zwykle na świecie,
Że spiew czarowny przebrzmi niepojęty.
Pieśń twoja skromna jest jak głos natchnienia,
Co chociaż cichy, jednak więcej znaczy
Niż hałaśliwych śród roznamiętnienia
Głos popularnych na świecie krzykaczy.
Do ucha łowca twój głos czarem spada,
Każdy dźwięk jego tak silnie porywa,
I tak mu dusza jego jakoś rada,
Że z nim poemat czarodziejski spiewa.
Słuchając pieśni idźże strzelcze śmiało,
Ptak nic nie słyszy pośród tego pienia,
Jestestwo jego tak się z pieśnią zlało,
Jakby kochanka pośród chwil zwierzenia.
Lecz gdy umilknie, wtedy stań się głazem,
Niedrgnij i oddech niech zamrze w twem łonie,
Król ptaków czujny! Wtedy jest obrazem
Wciąż trwożliwego despoty w koronie.
Szelest go trwoży, tokowisko rzuci —
To tajemnica myśliwemu znana!
Dziś utracona sposobność nie wróci,
I musisz czekać do jutra, do rana.
Lecz jeśli wytrwasz, w pieśń podchodzić będziesz,
I zbytni zapał pohamować zdołasz,
Sztandar z piór głuszca z pewnością zdobędziesz,
I hymn tryumfu w kulebie wywołasz.
Tylko spokojnie! Pod jodły koroną
Ptak swej głuszycy pieśń namiętną spiewa,
Ona kochanką jest, czy jego żoną,
Niewiem. Idź śmiało wprost do tego drzewa,
Ona w pobliżu tego drzewa siedzi,
Czy słucha pieśni, czy śmieje się z niego,
Z pewnością nikt z nas nigdy nie wyśledzi.
Ona niewiastą, nie badaj więc tego!
Jej niepłosz tylko, bo ma dobre serce,
Więc ta niewiasta, żona czy bogdanka
Skradającego się pozna mordercę,
Ostrzeże swego męża czy kochanka.

———

Patrz tam na jodle głuszec w czułej pieśni
Niewieście owej jakie śle wyznanie?
Przysięga... o niej całe życie prześni...
Przysięga... wiernym do śmierci zostanie...
I to się spełni — choć on z mężczyzn rodu,
Krzywoprzysiężcą on się dziś nie staje,
Tu mieć niebędzie niewiasta zawodu,
Bo mu pięć minut do życia zostaje.

———

Strzelcze jeżeli niezbyt ci drga ręka,
Zmierz się, jeżeli zmierzyć jesteś w stanie,
Lecz strzelaj w pieśni, gdy głuszec telęka,
Krzywoprzysiężcą niech się ptak nie stanie.
Strzał pada — głuszec zaszumiał skrzydłami,
Wraz z nim opadła gałązka jodłowa,
Spadając w skałę uderzył piersiami,
Już trup — bogdance swej dotrzymał słowa.

———

Z taką zdobyczą do kuleby wracaj,
Prawdziwie miałeś dziś królewskie łowy,
Przez łomy drogę do ogniska skracaj,
Na ciebie czeka tam wieniec laurowy.

Z taką zdobyczą, po takim poranku,
Rozkosz nieznaną twe serce uczuje,
Zdać ci się będzie, żeś w laurowym wianku,
Zapomnisz o tem: „że nasz świat się psuje!“

O PTACTWIE NA UKRAINIE

PRZEZ

Marcellego hr. Tyszkiewicza.

Niedawno sprzeczało się dwóch dobrych myśliwych wobec mnie, jeden utrzymywał, że z polowaniem w kniei żadne inne porównać się nie może, drugi zaś, że tylko na dobrym koniu z chartami pojmuje polowanie, a że ja z jednym i drugim nieraz polowałem, więc do mnie się zwrócili prosząc o rozstrzygnienie tego sporu. Byłem w niemałym ambarasie widząc ich przed sobą niecierpliwie decyzyi wyczekujących. — „Ależ, moi Panowie, pozwólcie mi myśli zebrać, rozważyć“. — „Nie, wprost wypowiedz Pan swoje mniemanie“. — „Ha! kiedy mam wyrzec bez namysłu, to najmilsze mi polowanie z dobrym psem na błocie“. — „Ależ my prosimy o wybór z dwóch wskazanych przez nas“. — „A! przepraszam, moi Panowie, po otwarciu polowania bekasy są przed chartami i knieją, a czyż może być coś przyjemniejszego dla myśliwego, jak wycieczka na błota w pięknym dniu letnim przy małym wietrze, w lekkiem ubraniu, w postołach na nogach. Po wkroczeniu na moczar z małemi kępinami pies co chwila staje do dubelta, a jeżeliś nie gorączka i nie pudłujesz, to w takim razie najwyższej doznasz rozkoszy, więc z ręką na sercu mogę zaręczyć, że bekasie polowanie górą nad innemi. Ale też w Październiku gdy się w towarzystwie miłem na dobrym koniu upatrzy na kosohorze gracza-zająca i wykrzyknie heco, potem szczucie, emulacya, burda, wreszcie miła gawędka przy kominku po ośmio-godzinnem harcowaniu na koniu, wyborny apetyt, sen uroczy — to chyba już na świecie nic niema milszego!“ — „Ale Dobrodzieju! a w kniei, na śniegu, gdy naganka ruszy, a ty stoisz ze sztućcem w ręku pod bukiem i widisz z daleka wprost na ciebie idącego odyńca, jak to ci wtedy serce młotem wali, iż się lękasz, aby tych uderzeń dzik nie usłyszał, lub gdy w gąszczu jedliny słyszysz łomot przedzierającego się całego stada dzików, wnet wyskakującego, robisz pyszny dublet, i dwie jakoby góry leżą koło ciebie, jakto ci wtedy oko iskrzy się radością, zapominasz o wszystkich fizycznych i moralnych cierpieniach“. — „Więc przyznaję Panowie, że wszystkie te trzy rodzaje polowania z równą passyą kocham“. To niech będzie wstępem do opisu polowania na ptactwo na Ukrainie. Kiedym ów wstęp pewnej damie odczytał zarzuciła mi, iż słowo kocham nie jest tu na swojem miejscu, na co odrzekłem, iż wyraz ten użyty jest tylko dla silniejszego nacisku, ale wam szanowni bracia w Hubercie powiem pod sekretem, że istotnie takiego doznaję uczucia.

Na Ukrainie wywodzą się w burzanach dropie, pardwy, kuropatwy, chruściele, przepiórki, siewki, stepowe kulony począwszy od tak dużych jak kura, siwego koloru, skończywszy na małych jak pliszka. Z ptactwa wodnego są tam gęsi, różnego rodzaju kaczki: krzyżówka, podgorzałka, pokrzywianka, szarka, trzy gatunki ceranek, najmniejsza tak ufarbowana jak podgorzałka; największa z kaczek jest hohol, samiec czarno-srokaty, przeważnie biały, samica szara. Po wielkich oczeretach wywodzą się w ogromnych stadach żurawie. Biała czapla nie jest tam osobliwością, zawsze ich kilka w jesieni zabijałem. Pelikany dosyć często zalatują, na rzekach i stawach są dzikie łabędzie, nurki, łyski i różnego rodzaju kurki wodne. Z ptactwa błotnego: dubelty, kszyki, ficlauzy, kulony, batali ony, słonki tylko w przelocie. Na pograniczu Polesia są cietrzewie. Spiewających ptaków po ogrodach bardzo wiele, a słowik prym tam wiedzie. Są także piękne gatunki orłów i różnego rodzaju jastrzębie, z pomiędzy których gołębiarz tam kuropatnickim zwany ogromne czyni szkody.

Po wyliczeniu ptaków przechodzę do polowania na nie, rozpocznę od dropia, którego ukraińskim strusiem nazywają. Rozpoczynają się łowy w wczesnej jesieni z psem legawym na podloty w burzanach i w zbożu, zwykle z konia, bo burzany wysokie. Później gdy dropie stadami wychodzą na posiewy i role, podjeżdża się je prostym wozem, obłożonym snopkami słomy a ciągnionym wołami. Robią też z płótna kobyłę, w którą strzelec się ubiera, i udając pasącego się konia do stada podchodzi. Najlepiej jednak udaje się polowanie, kiedy wracając z wilczego polowania wózkami robimy w kilkudziesięciu na nie formalny kocioł niemiecki. Spostrzegłszy zdala stado dropi, objeżdża się je z dwóch stron, zostawiając jednego strzelca w odstępie tysiąca kroków. Gdy już strzelcy obstąpili stado wokoło, na znak dany podchodzą ku środkowi. Wtedy jak wiatru niema (bo przy wietrze drop wznosi się od razu w górę), a pierwszy strzelec palnie na sztych do lecącego stada, to ono się rozbija, i padnie sześć lub siedm sztuk. Dropie wytrwałe są na zimno. Odlatują od nas dopiero, gdy większe śniegi spadną, a często i na zimę pozostają, gdy jest lekka. Drop jest ostrożny, ma wiatr czy instynkt zadziwiający, ale nie tak ostry jak żuraw. W moim myśliwskim zawodzie wiele zabiłem dropi, żurawia ani jednego, lubo niemało ich u nas i zawsze ze strzelbą jeździłem. Dwa razy w życiu złapałem dropie chartami, raz jednego, drugi raz dwa, a było to w Grudniu podczas deszczu, który marzł i tak im skrzydła pokleił, iż nim się rozruszały, już były w pysku charcim. Żurawiom często całemi godzinami przypatrywałem się. Warto widzieć takie stado na stepie, jaki to tam porządek! Czaty porozstawiane w około, co godzina się zmieniające, żuraw stoi na jednej nodze na warcie, głowa wyciągnięta, ani się ruszy, a tymczasem całe stado tańczy, muzykuje, żeruje, a byle sygnał: *kru-kru!* się odezwał, wnet wszystkie igraszki ustają, cały tabun słucha nieruchomy, a gdy czata drugi raz się odezwie i poderwie, zrywa się całe stado za nią. Ileżto razy doświadczyłem ich instynktu! Gdym miał strzelbę w ręku, zrywały się na kilkatysięcy kroków, w przeciwnym razie dawały się blisko podjeżdżać. Słyszałem, że można żywe łapać żurawie.

Kiedy się w stepie do prosa zanęcą, zakopuje się w ziemi korytko, nalewa w nie spirytusu, to żurawie nażarłszy się i napiwszy wódki odurzają się tak, że je można żywcem łowić. Sam tego sposobu nie doświadczyłem.

Pardwy wywodzą się w burzanach na pograniczu Chersońskiej gubernii. Poluje się na nie z psem legawym jak na kuropatwy. Strzał do nich łatwy, byle się oswoić z świstem, wychodzącym ze skrzydeł przy podrywaniu się. Przylatują do nas pardwy w późnej jesieni ogromnemi stadami. Łatwo je podjechać wózkiem, ale trzeba spokojnych koni, raz też omal nie miałem wypadku, tak się świstu przestraszyły. Pardwa ma ufarbowanie dropia, tylko jest mniejszą, wielkości kury, gdy drop dwa razy większy od indyka, i do jedzenia niedobry, kiedy przeciwnie pardwa ma smak wyśmienity, iż żadna pularda jej nie wyrówna, mięso białe i soczyste.

Polowanie na kuropatwy odbywa się tak jak wszędzie z psem legawym, z tą tylko różnicą, że bierzemy z sobą kilku konnych, którzy zdala od nas po prawej i lewej stronie jadą, a gdy stado się porwie, wypuszczają konie i pędzą za kuropatwami, dopóki nie zapadną. Bardzo to dobry sposób, bo w jarach traci myśliwy najczęściej kuropatwy z oczów, wiele czasu traci, nim je znajdzie, a często wcale się już z niemi nie spotka. Na Ukrainie był zwyczaj odbijania starek pierwszymi strzałami. I ja tak robiłem, ale od czasu, kiedym polował w Saksonii z królewskim leśniczym Gerlachem, już tego nie czynię. Przekonał on mnie, że gdy się starki odbije, to młode idą światami, ciągle się wabią, szukając rodziców, stare zaś trzymają się zawsze jednego miejsca, choćby wszystkie młode były wybite. Przytem stara kuropatwa dobrą jest matką, więcej jaj niesie i doskonale chroni dzieci swoje od niebezpieczeństwa. W Saksonii w czasie śniegów, gdzie nie ma naturalnych remiz, zatykają w ziemię sosenki, tam podrzucają żer dla kuropatw, i tym sposobem chronią je od jastrzębia, mają dosyć żeru, więc tam podczas śniegów się trzymają, a na wiosnę w pobliżu tego miejsca lęgną się. Lepsze to, jak wyłapywanie w zimie, bo takie kuropatwy puszczone na wiosnę, rzadko w tem miejscu pozostają, choćby miały skrzydła, jakto niektórzy robią, gliną oblepione. U nas w zimie łowią kuropatwy rozjazdem. Miałem strzelca Lewka, który znakomicie zakrywał. Wyjeżdżał on saneczkami zaprzężonemi jednym, dobrym koniem, a gdy spostrzegł stado kuropatw, rozbijał niedaleko rozjazd. Rozjazd jest taką samą siatką, jakiej się używa na przepiórki. Przymocował rozjazd świdrami mocno do ziemi, żeby kuropatwy przy podnoszeniu się nie zerwały go, a we środku podpierał patyczkami, zostawiając jeden mały otwór w siatce, pod którą sypał hreczkę, od otworu zaś robił z ziarna dróżynkę. Następnie objeżdżał stado tak, iżby się nie poderwało, lecz ciekąc trafiło na dróżynkę hreczaną, na którą gdy wpadło, to wnet potem już było pod siatką. Wtedy Lewko wprost na nie najeżdżał, kuropatwy się podrywały, rozjazd spadał, a on po jednej wyjmował i wkładał do kojca płóciennego, i rzadko kiedy która się wymknęła. Kuropatw miejscami mamy wiele, i gdy sobie jakie miejsce upodobają, to choćbyś do nogi je wybił, pojawią się w roku przyszłym. Pan kuropatnicki w zimie robi ogromne szkody. Trzymają się więc kuropatwy oczeretów i gęstych łóz, a czasem aż w chłopskich stodołach się chronią, gdzie je inny rodzaj jastrzębi wyławia.

Siewki pojawiają się zwykle w jesieni w niewielkich stadach, siedzą na posiewach. Podjeżdża się je najlepiej wózkiem. Stanowią bardzo dobre jedzenie, a gastronomowie uważają je jako specyał. Siewka jest wielkości dubelta, koloru siwego, smakiem przypomina słonkę.

Przepiórek u nas bardzo wiele. Dwóch chłopaków z rozjazdem i dobrym psem nakrywa dziennie do stu, a przytem zawsze kilka chruścieli, które nie tylko na błocie, ale też na pszennej ścierni lubią przesiadywać.

Najładniejsze polowanie na kaczki jest u nas na małych jeziorkach, jedno, dwa lub najwięcej trzymorgowych, latem na podloty. Dwóch strzelców z dobrym psem legawym ma rozkoszne polowanie. Dla mnie polowanie na kaczki najmniej ma uroku. Lewko strzelec nakrywał je u mnie. Miałem jeden staw w polu, gdzie nie wolno było strzelać, tam nakrywanie odbywało się w taki sposób. W późnej jesieni, kiedy zboże było już w stertach, wynosił Lewko snop hreczki i rozścielał go nad samym stawem. Gdy kaczki ów snop zjadły, rozesłał na tem samem miejscu drugi, a słomę z poprzedniego odnosił na trzydzieści kroków i kładł na kupkę, powtarzając to przez kilkanaście dni. Gdy kaczki już się dobrze przynęciły, a kupa słomy była tak duża, że mógł z niej zrobić budkę, wtedy w miejscu, w którem hreczkę rozścielał, wyrzynał w trawie miejsce na obręcz żelazny, podłużny, siedm łokci długi, obciągnięty siatką i zaopatrzony w sprężynę, która za najlżejszem pociągnieniem sznura zapadała, a sieć przykrywała kaczki na hreczce żerujące. Sznur był przeciągnięty od siatki, aż do budy, a miejsce w trawie tak wycięte, że cały przyrząd nie był widocznym. Zdarzało się, że naraz przykrywało się kilkadziesiąt kaczek, a przez jesień łowiło się ich kilkaset. Z niewielkim zachodem i kosztem miałem doskonałe pieczyste, robiono też z kaczek wędliny na wzór półgęsków litewskich, a i sąsiadom dosyć ich rozsyłałem. Kilka razy w późnej jesieni nakrył Lewko dzikie gęsi, które w przelocie na noc na staw zapadały.

Na Ukrainie o ciągu słonek tylko słyszałem, a pierwszy raz polowałem na nie w Galicyi. Z naganką jednak i legawym psem strzelałem ich u nas wiele. Muszą one wszakże i u nas ciągnąć, ale że tam są małe laski i rudki, więc słonka raz tylko okrąży i odlatuje dalej. Może też nie czują potrzeby parowania się lub są zbyt znużone podróżą, słonki bowiem przylatujące do nas zimują w południowym Krymie, gdzie sam w Styczniu kilka zabiłem. Przeciągają one ztamtąd przez ogromny obszar stepów i często zapadają w burzanach. Raz natrafiłem na taki ciąg słonek koło Perekopu, w niemieckiej kolonii Karolina. Siedziały na suchym limanie w czerwonych klombach trawy. Zabiłem w jednym dniu 28, ale zabrakło mi śrótu, więc z żalem wróciłem do domu. Nazajutrz wybrałem się z ogromnym zapasem amunicyi, i niezastałem ani jednej.

Mamy także sławne bekasie błota. Odemnie o milę brała swój początek rzeka Irpień, i ciągnęła się 18 mil aż pod Kijów. Pamiętam raz na korzyść konsekracyi kościoła Białopolskiego nabiliśmy we dwóch, ja i mój strzelec, całą faskę dubeltów, a tak ich było wiele, że dwa razy na dzień myliśmy strzelby, bo ladstok przy nabijaniu nie chciał w zafolowaną lufę wchodzić.

Trzy orły zabiłem w życiu. W Krymie ubiłem ich dwa, jednego białego z czarnemi centkami, drugiego ciemno-brunatnego. Żałuję, że nie kazałem ich wypchać, były to bowiem prześliczne okazy. U nas orzeł tylko młode zajączki łowi, stare umieją się obronić. Widziałem nieraz uderzającego orła na starego zająca, który wtedy przewracał się na grzbiet i puszczał szalonego młynka skokami, orzeł nie mogąc go chwycić wznosił się w górę, a zając umykał do skoty. Doskonale bije orzeł swojskie gęsi, dzikie zaś spostrzegłszy go wzbijają się wysoko w górę. Łowi on także kaczki, ale swojskie. Raz strzelec

mój ubił orła wylatującego z kaczką w szponach z pod mostka we wsi. Widziałem też sam w późnej jesieni, kiedy gęsi ulatują w pola, jak orzeł zabił pięć z jednego stada, ledwie jednej dopadł i uderzył ją w głowę, wnet leciał za innemi, aż je zapędził do wsi.

Z dziecinnych jeszcze moich lat tkwi w pamięci mojej urządzone u mojego ojca myśliwstwo na ogromną skalę. — W Kasperówce pod Białopolem był dom urządzony po myśliwsku ze stajniami, psiarnią, domkami strzelców i t. d. Było 24 siwych, szczwackich koni, dwa gniade Sanguszkowskie wierzchowe mojego ojca, 20 smyczy chartów, 24 swór gończych, dwóch dojeżdżaczy na dereszowatych koniach, 12 wozów sieci, wozy zielono malowane i skórą pokryte, 12 strzelców w wilczurach szaraczkowym suknem pokrytych z zielonemi potrzebami i takiegoż koloru rajtuzy w butach. O ile pamiętam strzelano już z kapslówek, a był też i rocznie płacony rusznikarz. Imponował mi najbardziej gabinet ojca, gdzie były wypchane głowy dzików, niedźwiedzi, łosiów, wilków, a zajmowała mnie najwięcej misternej roboty szafa pełna broni z fabryk: Mortimera, Gastina, Reneta, Le Page'a i innych. Było tam także wiele starej broni i siodeł tureckich. Wszystko to zabrano w r. 1848, i przepadło na zawsze. Stary Drozdowski, strzelec jeszcze dziada mego, pierwszy uczył mnie strzelać na błocie w oryginalny sposób. Wyrysowawszy węglem kszyka na ćwiartce papieru, przyczepiał ją do ściany, odprowadzał mnie na 30 kroków i kazał ciągle do niej się składać, a gdy już za każdym razem przy złożeniu się miałem zaraz ptaka na oku, pozwalał mi strzelać naprzód tylko pistonami, a w końcu prochem i śrótem, ale bez wytrzymywania, tylko od razu. Może nigdy lepiej na błocie nie strzelałem, jak po takiej trzydniowej nauce, i te dorywcze strzały do dziś zachowałem, lubo bez kwestyi więcej teraz pudłuje, jak w początkach mego zawodu myśliwskiego. Prawda, że młode oko więcej warte niż stare, ale strzelec zawsze nacoś winę składa, więc ja złożę na broń i twierdzę, że jednak dawne starego Le Page'a strzelby lepiej biły, jak dzisiejsze odtylcówki. Wracam do myśliwstwa mego ojca, które mnie za młodu zachwycało. Bywałem nieraz w niedzielę na naradzie myśliwskiej, i widzę mego ojca siedzącego na otomance, a w rzędzie stojących kilku starych strzelców i szczwaczy. Byli tam: Jan Dańczuk, zwany kapitanem, Drozdowski, Lewko krzywy, zwany Twardowskim, łowczy Maciejowski, ze szczwaczy zaś stary kniaź Zub, Danyło, Gabro i inni. Wszyscy stali z założonemi rękami w tyle, tylko Jan kapitan ręce z przodu zakładał. Zwykle ojciec zaczynał: „no jakże na ten tydzień, może zaczniemy od Dźwiniaczy". — Wszczynały się dysputy, jak i gdzie, przeplatane żarcikami Drozdowskiego i Dańczuka. A jak całe to myśliwstwo ruszyło na jaką wielką wyprawę, 20 szczwaczy na koniach jednej maści, jednakowo ubrani, sieci, psy gończe i strzelcy, to istotnie widok to był imponujący. Dziś jeszcze żywo mi się przypomina nieprzyjemne wrażenie, jak to raz profesor Rykman pytał mnie na lekcyi: jakie główne miasto Hollandyi, a ja odpowiedziałem: Krysia (ulubiona charcica mego ojca). Drozdowski sławnie strzelał. Raz podczas ogromnego wiatru i deszczu schroniliśmy się pod drzewem, a tu pies jego stoi. Drozdowski idzie do niego, ja mówię: „spudłujesz Droździe", a on z całą powagą odpowiada: „zobaczymy". Deszcz bije mu w oczy, on podchodzi, kszyk się zrywa, zabija go, zrywa się drugi, przerzuca strzelbę z prawej do lewej ręki i ubija drugiego. Że strzelał z obu stron doskonale, o tem wiedziałem, ale śród takiego deszczu i wiatru taki dublet, to już sztuczka mistrza. Pewnego razu mieliśmy z tym Drozdowskim zabawne zdarzenie. Polując na bekasy wysłaliśmy bryczkę naszą w jedną stronę, a sami trafiwszy na dubelty odbiliśmy się o parę mil w drugą. Zgłodniali i zmęczeni wstępujemy do małej karczmy polowej, ale pieniądze zostały u furmana, a żyd nie chce dać jeść na kredyt, bo wcale niepokaźnie wyglądaliśmy obłoceni i w postołach. Zastawiam fular za pół rubla i raczymy się faszerowanym szczupakiem. Żyd miał konia i wózek, więc lubo z wielkiem niedowierzaniem kazał synowi swemu odwieść nas tam, gdzie moje konie czekały. Koń żydowski był tłusty, ale tak leniwy, że ciągle stawał. Drozdowski nic mi nie mówiąc nabija strzelbę prochem i strzela z tyłu do konia, który unosi, a żyd z przerażenia omal nie wypadł z wózka, ale go Drozdowski chwycił za kołnierz. Koń już jak szalony pędził ku miejscu, gdzie moja bryczka czekała. Gdy żydek spostrzegł furmana i cztery konie, ciągle powtarzał: „aj waj! aj waj! ja mówił tate, co to wielki puryc". Zastaw odebrałem, a w rok potem polując gdym zajechał do tej karczemki, to żyd niezmiernie był grzeczny, a Drozdowskiemu dziękował za naukę daną koniowi i mówił, że teraz batoga na niego nie używa, lecz wozi z sobą koromesło, z którego mierzy do konia, a gdy wykrzyknie puf! to koń galopem pomyka.

(Dokończenie nastąpi).

NA BŁOTACH BEŁZKICH

PRZEZ

Alexandra Ubysza.

(Ciąg dalszy).

Nie mało zabiłem owych jadowitych bestyi, a między niemi jedną ślepouszkę półtorałokciowej niemal długości. Skórą jej powlokłem cybuch, który na pozór jakoby indyjski, miał oryginalną piękność. Lud święcie wierzy, że wąż kąsa żądłem, nie zaś dwoma kłami po obu stronach górnej szczęki, umieszczonymi w małym pęcherzyku wewnątrz dziąsła pod samymi zębami. Zęby te a raczej kły od korzenia ku samym ich ostrym jak igła końcom mają mikroskopiczny otwór czyli przewód, którym jad z pęcherzyka wychodzi. Dodać należy, że owe kły, niezbyt silnie w dziąsłach osadzone, są ruchome, a przy ukąszeniu naciskają na pęcherzyki, wysączając jad. — Wszelkie moje przedstawienia wobec chłopów były bezskutecznemi, rozbierałem zabite gadziny, pokazywałem wyciągnięte żądło, przekonywałem, iż ono jako mięsiste, bez kolców u góry, może robić tylko usługę języka, — wszystko napróżno, twierdzili, że żądło za życia twarde i ostre, po śmierci zaś mięknie. W końcu dla silniejszego stwierdzenia moich przedstawień, gdy raz żywą „płeskaczkę" złowiono, ścisnąłem jej mocno

gardło przy samej głowie wobec kilku chłopów, a nawet księdza, i wyrwałem jej żądło. Zdumieni moją zuchwałością chłopi szeptali z cicha: „win szczoś znaje“, co miało znaczyć, iż jestem trochę czarownikiem, bo też w istocie miałem wówczas minę czarodzieja. Ściśnięta gadzina wiła się na wszystkie strony, okręciła się w koło mej ręki, wyglądałem zaprawdę, jak owi indyjscy zaklinacze wężów, którzy uchodzą za czarowników jedynie z tego powodu, że znając organizm płazów tych wyrywają grzechotnikom lub okularnikom kły, a potem bez obawy dają się im kąsać. Wyrwawszy żądło gadziny podałem je chłopom, iżby się przekonali, że ono mięsiste i miękkie, ale żaden nie odważył się dotknąć go. Dla dosadniejszego przekonania ich podłożyłem gadzinie maleńkie szczenię, i począłem ją drażnić kijem. Po chwili gadzina bez żądła ukąsiła szczenię, poczem ją zabiłem, psie zaś wnet spuchło i zdechło. Chłopi niby to uwierzyli, ale nieprzestali szeptać: „Taki win szczoś znaje“. Ustaliłem sobie reputacyę znahora, bo po niejakim czasie żona zamożnego kmiecia Beniuka, zwana na wsi Beniuczką, przez wysłańca prosiła mnie, abym odczarował jej krowy, którym ktoś mleko odebrał. Ubawiła mnie ta propozycya i kazałem powiedzieć bogatej, ale skąpej gospodyni, że koniczyna i dobre pastwisko najskuteczniej zdejmują czary z zaklętych krów.

Wracam na błota. Jak wyżej rzekłem, dzień był skwarny, więc cisza grobowa zaległa na tych w innych porach roku tak ożywionych miejscach, uwijały się tylko jaskółki, rybitwy i czaple. Pierwsze łowiły owady w powietrzu lub na powierzchni wody, rybitwy chwytały małe rybki pod samem zwierciadłem wód na słońcu się wygrzewające, a czaple samotnie stały u brzegów niby zadumane, a istotnie na łup czatujące. Trudno je podejść i zabić, a nawet nie warto, bo mięso ich twarde, cuchnące tranem rybim. Nie w celu polowania zrobiłem tę wycieczkę, lecz jedynie dla zbadania owych tajemniczych miejsc. Chciałem zwidzić przedewszystkiem tak zwaną „Wysoką ostrowę“, do której pozornie niedaleko, ale tyle tam jeży się przeszkód, które przełamywać i okrążać trzeba, że nie mało ona wymagała czasu. Wasyl niósł strzelbę, więc też strzelał do wszystkiego, co się nadarzyło. Ubił dwa kaczory, gęś i dwie łyski, a zwierzyna ta dosiadując twardo, z pod nóg prawie mu się podrywała. Owa Wysoka ostrowa dostała nazwę od swego położenia, sterczała bowiem ponad poziomem moczarów najmniej na dwa metry. Najwyższy to był punkt na całej przestrzeni, a wedle twierdzenia Wasyla, najrozleglejszą ostrową nad Sołokiją, szeroką do 200 kroków a długą więcej niż na ćwierć mili. Była ona istotnie wyspą czyli raczej półwyspą, bo jeden jej kraniec przytykał do olchowego i sosnowego lasu, z innych zaś stron otoczoną była trzęsawiskami, wodą, błotem bezdennem, przystępnem chyba dla pliszek lub bekasów, których te miejsca były ulubionem żerowiskiem. Kaczki lub inne większe wodne i błotne ptactwo nie zapuszczają się tu, bo niema wody do pływania, a stąpać nie można z powodu grząskiego gruntu. Mało który z śmiertelnych zwidził tę ostrowę oprócz mnie i Wasyla. Chowali się tu ludzie w dawnych czasach przed Tatarami, do niedawna jeszcze były ślady sałaszów, teraz już ich nie ma, pale olchowe zginęły, kopiaki zapadły. „Znalazłem tu starą szablę bardzo zardzewiałą i rogi jelenie nader rosochate — mówił Wasyl, i zaniosłem panu Łowczemu z Rzeczycy, który mi dał za to 9 cwancygerów i psa gończego, za którego od leśniczego z Mostów dostałem jałówkę“. Opowiadanie to mocno mnie zainteresowało, znaleziona szabla nadto wymownie świadczyła o przeszłości ostrowy, a rogi sądząc z rozmiarów musiały być łosie, z czego naturalny wniosek, iż zwierzę to niegdyś w tych miejscach przebywało. Objawiłem gorącą chęć zwidzenia tej ostrowy, ale Wasyl zapewnił mnie, iż rzecz to trudna, ostrowa bowiem niedostępna nawet od strony lasu, gdzie jak się wyraził „wyharzysko“, jezioro tamuje drogę. Z zdziwieniem zapytałem o znaczenie słowa: wyharzysko, na co odrzekł: „Starzy ludzie opowiadali, a Łuć Woźniak pamięta, że podczas pewnego bardzo suchego lata piorun trzasł w suchą olchę, z apalił ją, a od niej całą ziemię na ostrowie, która tak długo gorzała, aż ją wielki śnieg zagasił. Na tem wyharzysku powstała jama, z której utworzyło się jezioro“. Widząc moje zafrasowanie, iż nie będę mógł się dostać na ostrowę, dodał: „Jeżeli tego, com tu schował, woda nie uniosła lub nie zgnoiła, to dojdziemy na ostrowę“. Poczem postąpił parę kroków, rozglądał się, w końcu posunąwszy się jeszcze dalej, głośno zawiadomił mnie o pomyślnym skutku poszukiwania. Szybko więc podchodzę pragnąc poznać ów lek na zaspokojenie mojej ciekawości. Była to po prostu może dziesięć łokci długa, niezbyt szeroka sosnowa deska, zielona i oślizgła. Na niej to miała się odbyć niebezpieczna przeprawa. Od kępy do kępy, których tu było mnóstwo rzadziej rozsianych, były woda i błoto, trzeba się było po desce przez nie przeprawiać. Naprzód rusza Wasyl, szybko stąpa po desce, bo w tem cała sztuka, by szybko po niej przebiedz, gdyż pod ciężarem się zagłębia. U krańca deski skoczył i już był na kępie. Trochę mi się ckliwo zrobiło na widok takiej przeprawy, dusza poszła jak to mówią w pięty, ale ambicya kazała iść w ślady przewodnika, więc puszczam się na ów hazard, hazard mówię, bo fałszywy krok lub pośliznięcie dałyby mi niemiłą kąpiel w błocie po uszy lub wyżej nich, biegnę lekko, powiewnie jak prima ballerina lub sylfida, i wnet znajduje się w objęciach Wasyla na zbawczej kępie. Odetchnąłem swobodniej. Takich przepraw było kilka, ale szczęśliwych, w końcu stanęliśmy na ostrowie. Naprzód zapragnąłem spocząć po trudach więcej moralnych jak fizycznych. Istotnie bezpiecznemi są owe przeprawy przez te w niektórych miejscach bezdenne topiele, które niejedną już ofiarę pochłonęły. I tak na wiosnę tego roku, w którym po raz pierwszy zwidzałem te błota, młody chłopiec, zaprawiający się dopiero do kłusowniczego rzemiosła, lubo dobrze oswojony z owymi moczarami, wybrawszy się pewnego poranka z pękiem sideł, które zastawić chciał na kurki, kulony i baranci (bekasy), nie wrócił już do domu, utonął na bagnach, nawet ciała nie znaleziono. Nawiasem dodam, iż lud nazywa bekasy baranciami, ponieważ one w porze zalotów na wiosnę beczą czyli po łowiecku bębnią podobnie jak barany, i z tego to powodu nazwano je we wszystkich niemal językach bekasami. Czy one wydają ów głos z gardła lub jak niektórzy myśliwi twierdzą, z końców skrzydeł, starałem się wyjaśnić w przeszłorocznym 8ym numerzem „Łowca“. Grunt ostrowy był torfiasty, suchy, porośnięty przeróżnem zielskiem, bujnym wysokim i gęstym „końskim szczawiem“, podbiałem, żywokostem, miejscami zaś czerniały krąglaki tak zwane „plichy“, żadną niepokryte roślinnością, gdyż sypki jak piasek, słońcem przepalony torf nie sprzyja jej, natomiast rośnie tam mnóstwo pieczarek, których z powrotem wiele z sobą zabrałem. Cała ta ostrowa musiała być kiedyś lasem porośnięta, świadczyły o tem mnogie w kształcie kęp ponad powierzchnią sterczące jakby mogiłki, zarosłe jasno-zielonym mchem. Rozsiadły się na nich w mnogiej liczbie mrówki, drobne jasno-żółte, przezroczyste, wstrętnie cuchnącą wydające woń. Mrówki te tylko na moczarach przebywają, lud zowie je „moczarnicami“. Niektórzy zaliczają je do tych, które „grobówkami“ mianują, ja

jednak ośmieliłbym się stanowczo temu zaprzeczyć, ponieważ grobówki są większe, ciemniejsze lubo żółte, a woń tak zwanego kwasu mrówczanego nie jest tak przykrą jak u moczarnic. Te ostatnie kąsają dotkliwie, ukłuwszy za pomocą swych drobnych, lecz bardzo ostrych szczypczyków, umieszczonych u głowy, wpuszczają w ranę płyn, właściwy kwas mrówczany, ostry wonią i gryzący. Ukąszenie wywołuje obrzmienie i ból piekący. Mrówki te niezmiernie są drażliwe, lada poruszenie mrowiska źdźbłem trawy pobudza je do wściekłości, wnet wyrusza do obrony przednia straż, gdy cała załoga w ukryciu zajęta jest pracą przeróżnego rodzaju. Ucieszny to widok, jak owa straż napród usiłuje uprzątnąć to źdźbło, biega, atakuje, gryzie, wreszcie znika w labiryncie krużganków i chodników, nawołując do wspólnej obrony. Wnet pojawia się tysiące mrówek, każda zagrzana duchem wojowniczym pędzi na oślep, rzuca się na wroga, i aniś się spostrzegł, jak cię oblazły i tną zapamiętale. Często się wydarza, że woda zalewa mrowiska, wtedy przewidując niebezpieczeństwo unoszą mrówki co najdroższego, więc naprzód płód swój zasklepiony czyli tak zwane mrówcze jaja, następnie magazyny żywności, i przenoszą je na górne piętra. Gdy wszakże bezlitośny żywioł dosięgać już poczyna najwyższych szczytów mrowiska, wówczas zrozpaczone mrówki zebrawszy jaja w środek zbijają się w jeden zwarty kłąb, i dają się unosić prądowi wody, który je w końcu na jakiś stały ląd unosi, gdzie też natychmiast zabierają się do zakładania nowego mrowiska. O tem wszystkiem naocznie nieraz się przekonałem. Mieszkając przez wiele lat niedaleko od Lwowa w pobliżu Pełtwi, która gdy na wiosnę wzbierze, połączona z rzeczką Malechówką szeroko zalewa okoliczne łąki i moczarki, nieraz widziałem takie kłęby mrówek płynące z wodą, a nawet sam przenosiłem je na ląd. Dokładnie też dostrzegłem, jak po rozpadnięciu się tej żywej bryły, wysypywały się z jej wnętrza owe białe pęcherzyki, będące niedojrzałym płodem mrówek.

Kopiaków porytych przez krety nie było na ostrowie, natomiast wężów, szczególnie owych niewielkich, czarnych mnóstwo. Rozciągnąwszy się w całej swej długości na owych ani trawą ani ziołami niepokrytych torfowiskach, wygrzewały się na słońcu. Niemało ich tam zabiłem. Brzegi tej ostrowy z małemi przerwami porośnięte były łoziną, w środku zdala jedno od drugiego rosło kilkanaście drzew olchowych, zapewne potomków owych pradawnych, znaczących się mnogimi, zgniłymi i spruchniałymi pniami. Służyły one za fundament do sałaszów, w których ludzie się kryli podczas napadów tatarskich. Pnie te czy pale tak były zgniłe, iż niemożna było rozpoznać gatunku drzewa, prawdopodobnie były one z olszyny, na ostrowie rosnącej, bo dębina nie znosi ziemi bagnistej, a w popłochu pewnie jej jako materyału nie ściągano zwłaszcza na moczary. Na jednem z takich miejsc znalazłem kości bydlęce, mianowicie głowy i szczęki z wszystkimi jeszcze zębami, w czem najwymowniejszy dowód, że kryli się tu ludzie z całym swoim dobytkiem. Cicha ta ostrowa nie była jednak pustą, wraz z nami mnóstwo na niej pojawiło się czajek, latały one w koło nas kihicząc żałośnie, a co krok to gniazdo z podrastającemi już czajczętami, kryjącemi się na nasz widok. Poderwało się i kaczek kilkanaście jeszcze na gniazdach siedzących, lubo nie jedna już wówczas cieszyła się podrosłą konsolacyą, z którą wywiodłszy ją na wody rzeki lub jezior, igrała wesoło lub żerowała, nurkując dla rozkoszy lub z przestrachu przed przelatującym jastrzębiem błotnym. Kaczki nurkują wybornie i długo, zanurzywszy się na czystem, wypływają w dalszych miejscach pokrytych trzciną, rogożą lub tatarakiem. Nie pozwoliłem Wasylowi strzelać do podrywających się, i dążyliśmy ku owemu jeziorowi, zwanemu „Wyharem". Zdala nie można go było dojrzeć, otoczonego trzciną i rogożą z tak zwanemi pałkami. Nadto są one znane, bym je miał opisywać, nadmienię tylko, że oskubane dają rodzaj puchu miękkiego, którego ubożsi ludzie w bagnistych okolicach używają zamiast pierza do poduszek. Używają go też: wróbel trzcinowy, sikora ognista, czyżyk, nurek, kaczka, łyska i wiele innych ptaków wodnych do wyścielania gniazda. Osobliwie wymienione drobne ptactwo przekłada puch pałek rogożowych nad szerść lub włosy bydlęce, te bowiem motają się u stóp tych cienkopalczastych, pazurkowatych ptasząt tak, iż wylatująca z gniazda samica wyciąga za sobą całą podściółkę gniazdową, a z nią jaja lub pisklęta, które giną w wodzie lub błocie. Gniazda remin rzemieślniczek z samego tylko puchu rogożowego utkane w nader misterny sposób w kształcie woreczków lub koszyków. Jak skrzętnie i pilnie pracować trzeba, aby od połowy Kwietnia do połowy Maja uwić tak sztuczne gniazdko. — Cała ta ostrowa była jakiemeś zbiorowem gnieździskiem różnorodnego ptactwa. Co kilka kroków podrywały się bataliony, bekasy, kaczki, chruściele, gęsi dzikie, żórawie; doszedłszy do miejsca, z którego ptak się poderwał, znachodziło się gniazdo z jajami lub z żywym już płodem. Zachwycony byłem tem wszystkiam, co chyba w opisach jakiejś zaoceanowej krainy wyczytać można. Zacisznie było i bezpiecznie na tej ostrowie, bo z wyjątkiem wydry lub kuny wodnej (nurka), polujących na jaja lub płód ptasi, żadne inne zwierzę drapieżne nie mogło się dostać do tej twierdzy, oddzielonej od stałego i suchego lądu błotnemi topielami, w lecie wcale nieprzystępnemi lub owym wyharzyskiem, jeziorem wzdłuż całej szerokości przecinającem ostrowę. Gniazda owego ptactwa znajdowały się w pobliżu siebie, ale posortowane. Uważałem, że każdy gatunek ptaków miał jakoby swoją dzielnicę, nie mięszają, się z zobą, przestrzegają ściśle rasowości, kastowości. Unikają się nawzajem, walczą z sobą, i ztąd wynika ich odrębna i nieodmienna indiwidualność pod każdym względem w trybie życia, obyczajach. Jakiemi były w początku swego istnienia, takiemi pozostaną na zawsze, i raczej zaginą, jak wiele gatunków zwierząt czworonożnych i skrzydlatych, a nie zmięszają się z innym gatunkiem.

Chcąc się przekonać o ilości przebywającego na ostrowie ptactwa, wystrzeliłem, ze wszystkich stron zrywały się całe hurmy i albo ulatywały na sąsiednie błota, lub okrążywszy ostrowę wracały na gniazda. Przystęp do wód jeziora był niemożliwym, brzeg bowiem jego był groźnem trzęsawiskiem. Jezioro znaczną zajmowało przestrzeń, oddzielając jedną część ostrowy od stałego lądu i od lasu powyżej moczarów i ostrowy położonego. Kształt jego tworzył nieregularny czworobok, przecinając całą szerokość ostrowy. Podanie ludu, iż powstało to jezioro w miejscu ogniem piorunu wypalonem, może być mylnem, zarosłe ale regularne jego brzegi każą wnosić, że utworzone ono raczej ręką ludzi kryjących się niegdyś na tej ostrowie, obwarowujących się niem od strony lądu. Gąszcze trzcin i rogoży były gnieździskiem łysek i nurków zwanych „kozami" z srebrzystym puchem czyli „pomuskiem" na piersi i podbrzuszu, w górze zaś czarnej, połyskującej barwy.

Postanowiliśmy z Wasylem ubić koniecznie owego ptaka. Nie było to rzeczą łatwą, nader on bowiem ostrożny, co chwila znika pod wodą i wypływa znacznie dalej. Jak zbliżyć się do wody po tak grząskim brzegu, w stroju niemal Adamowym? Postępujemy ciągnąc za sobą deskę, wreszcie pełzamy jak gady, bo inaczej na trzęsawisku naprzód posuwać się nie można. W ten sposób zbliżyliśmy się, o ile się dało, do powierz-

chni wód niezarosłej zielskiem. Głęboka cisza, odludność miejscowości, wreszcie myśl, iż może nikt jeszcze tu nie dotarł, dodawały tym miejscom uroku. Wasyl zapewniał mnie, iż w głębiach tego jeziora zimują jaskółki. Według podania tutejszego ludu jaskółki z całej okolicy zlatują się do tego jeziora, gęsto obsiadają trzciny i rogoże nadbrzeżne, radzą Bóg wie o czem, nawet odbywają sądy karząc mniejsze przewinienia wykluczeniem z grona, śmiercią zaś większe jak np. niedbalstwo w pielęgnowaniu dzieci, które z tego powodu giną, niedotrzymanie kontraktu ślubnego, poczynającego się wcześnie na wiosnę, a kończącego w porze odlotu, w połowie Października. Obadwa te przewinienia rzadko się przydarzają w jaskółczym rodzie. Po naradach i sądach z zapadaniem nocy zbijają się te ptaszęta zgodnie z tradycyą ludową w kłęby lub duże wieńce, zszczepiając nawzajem łapki i dzióbki, i zanurzają się w głębi jezior, stawów lub rzek. Nauka zaś twierdzi, co też nieraz widziałem, że jaskółki gromadzą się w późnej jesieni za dnia w znaczne stada „chmary“, obsiadają nadbrzeżne drzewa lub zarośla, a z nadejściem nocy odlatują gromadnie dążąc ku południowej stronie. Wszystkie wędrowne ptaki odlatują w nocy, instynkt jest dla nich przewodnikiem śród grubej ciemności i wiatr jesienny północno-zachodni. Lecą jedne w milczeniu, inne jak dzikie gęsi, żórawie nucąc pieśń jakąś smętną. Nad świtem, lubo mrok jeszcze osłania ziemię, bystre oko powietrznych wędrowców przenika mgły, okiem i instynktem szukają miejsca spoczynku i żerowiska. Wodne i błotne ptactwo zapada na odpowiednie miejsca, gęsi zaś dzikie i żórawie czyto na wiosnę wracając z zimowych siedzib, czy w czasie odlotu jesienią krążąc po nad ziemią, zasiadają na orkach, ścierniskach lub zasiewach, i żerują. Niepłoszone pozostają do wieczora, a następnie w dalszą udają się podróż. Byłem świadkiem szczególniejszego wydarzenia. W pewnej późnej jesieni byłem w gościnie u moich sąsiadów we wsi P. pod Lwowem. Noc była ciemna, wietrzna, wilgotna, prawdziwie jesienna. Dom i budynki gospodarcze leżały na wzgórzu, okolone lipami i niebotycznemi topolami. Siedzieliśmy przy wieczerzy, gdy ze strony przeciwległych oficyn dochodzi nas krzyk służby. Sądząc że gore, wybiegamy i zastajemy gwar z powodu złowionej pary dzikich gęsi. Lecąc stadem ponad domem, złudzone jasnem światłem bijącem z otwartych drzwi kuchennych, oświecającem naprzeciw stojący szpaler drzew, biorąc to światło zapewne za wschód słońca, zapadły i dały się złowić. Czytelnik sam zapewne nieraz spostrzegł, jak przy pożarze wszelkie mniejsze i większe ptactwo ze wszystkich stron dąży ku światłu płomieni, toż całe owo stado gęsi ułudzone jasnem światłem zapadło na szczyty drzew tłukąc się pomiędzy ich konarami, siadając na ziemię z głośnem gęganiem. Owe dwie wleciały aż do kuchni, jedną z nich pochwycono żywą, drugą udusili rzucający się na nią ludzie, reszta rozproszywszy się po ogrodzie tłukła się jak opętana między drzewami. Żywą gąskę mnie darowano, trzymałem ją w komórce sądząc, że się oswoi, ale nie przyjmowała pokarmu, więc słysząc zrana głos przelatujących gęsi, wyniosłem ją na dziedziniec. Szybko uleciała ku swoim.

Wracam do ostrowy. Ukryci z Wasylem w sitowiu, czatowaliśmy na ukazanie się nurków. Opodal pływało kilka familii kurek młodych wraz z matkami, do których oczywiście nie strzelałem. Wtem w dali z poza krzaka trzcin wypływa nurek, na grzbiecie siedziało troje młodych, Wasyl mnie trąca, żebym strzelał, odpowiadam gestem, że tego nie uczynię i patrzę ciekawie na to niewidziane dotąd przezemnie zjawisko. Dwoje przysiadło, a trzecie pewnie bundziuczny samczyk, ciemniejszy barwą i upstrzony dwoma jaśniejszymi prążkami w miejscu przyszłych skrzydeł, wgramolił się aż na głowę matki i ześlizgnąwszy się z czarnego i połyskującego pierza klapnął w wodę, lecz wnet był już na grzbiecie matki. Wasyl klasnął zlekka w dłonie, i w tejże chwili znikła samica z dziećmi i już się nie pojawiła. Wkrótce z przeciwnej strony wypłynął na czystą wodę nurek, niby srebro lśni na słońcu jego pierś, pierze białe jak śnieg, płynie ku nam w dziwnej postawie, jakby stojąc na wodzie z szyją wyciągniętą, ostry dziób w górę wystawiony. Zmierzyłem i strzeliłem, widziałem po strzale, że pierze się posypało, nurek znikł pod wodą, ale po chwili wypłynął martwy na powierzchnię. Wasyl popłynął za nim i wyniósł, byłto śliczny stary samiec z długą i cienką szyją, z głową ufryzowaną po obu stronach z tyłu, z dłuższem upierzeniem, jak samice. Po strzale zerwało się różne ptactwo z trzcin i rogoży nadbrzeżnych, a z naszego pobliża z szelestem wysmukły bąk. Nie mieliśmy już potrzeby wyczekiwać po strzale, z wyjątkiem kurki wodnej nie godnej strzału lub łyski, której mięso twarde, rybą cuchnące, żaden inny ptak nie podpłynął ku naszemu stanowisku, wreszcie czas już był do odwrotu, słońce schylało się ku zachodowi, a droga do rekruckiej ostrowy niezbyt bliska, a co ważniejsze nie bardzo bezpieczna, więc ruszyliśmy, bo nocować na tej wysokiej ostowie nie można było z powodu mnóstwa wężów. Z żalem opuściłem to odosobnione, ciche miejsce. Może ono już dzisiaj nie istnieje po osuszeniu moczarów. Szparko zdążaliśmy ku rekruckiej ostrowie na nocleg. Niepomału zdziwiłem się w pochodzie upatrzywszy zająca, wskazuję ów rudy przedmiot szepcąc: zając, on zaś odpowiada: sowa, zmierza się i strzela. Poskoczyłem ku niej, żyła jeszcze i patrzy na mnie swemi okrągłemi ślepiami leżąc na krzyżach, podnoszę ją, a ona wryła mi w rękę swe długie, ostre szpony, że ledwie ją wyrwałem. Gatunek sów na moczarach przebywający odznacza się korpusem niezbyt wielkim płowo-żółtego koloru, skrzydła rozszerzone w porównaniu do korpusu są nader długie, lot bardzo szybki i zwinny, a nadzwyczajnie cichy. Niezmiernie drapieżne ogromną czynią te sowy szkodę w błotnej zwierzynie, szczególnie drobniejszej. Żerują tylko w nocy, widzą bowiem wybornie w ciemności. Latają zawsze prawie ponad ziemią, trzymają się stale pól i moczarów, na ostatnich gnieżdżąc się po kępach. Węch mają wyborny, napadają na ptactwo śpiące i pożerają stare wraz z młodemi. Kaczki, gęsi, kulony wypłaszają z gniazd i raczą się ich płodem. Sowy wszelkiego rodzaju i puhacze należy starannie tępić, bo więcej czynią szkody jak jastrzębie. Nie pominie sowa nawet młodego zajączka. W porę zdążyliśmy na nocleg, właśnie słońce zatonęło w głębiach moczarów. Znużeni, przemokli zasiedliśmy przy ognisku przed wejściem do sałaszu roznieconem. Cisza była, nawet owe błotne słowiki — żaby w Czerwcu mniej skore do choralnej muzyki, odzywały się pojedyńczo kumkając lub wydawały głos podobny do stękania, inne wrzeszczały według mniemania ludu: „bura ki! ki! borszcz, borszcz!“ Księżyc był w pełni, jasno wypłynął na ciemno-błękitny, czysty horyzont. Ciepło, komary nie trapią, snać nie przewidują słoty, czy dym ogniska trzyma je w przyzwoitem oddaleniu. Wasyl opowiada mi różne różności prawdziwe i nieprawdziwe, gdy przesadzi mityguje go, a on klnie duszę i ciało, że „błud i czort“ chłopom wracającym nocą z miasteczka Uhnowa różne płata figle, bo drogi do tego miasteczka z Woronowa i Ostobuża prawie nie ma, jedzie się na ślepo po piaszczystem niby pastwisku, obszernem, pełnem moczarów i rowów, w dzień źle, a cóż dopiero w nocy, gdy ciemno, i w głowach jadących nie jasno po kilku półkwaterkach, wypitych u bezpalcego Icka w ratuszu. „Proszę

pana — mówi Wasyl — żeby mnie nagła śmierć spotkała, powiem prawdę, wracamy raz w późnej jesieni z jarmarku we czworo na furze Sydora, wszyscy trochę napici, ja nie, Sydor spał, ja poganiam konie, aż patrzę, idzie przed końmi coś niewielkiego, niby chłop, niby pan, a kurzy fajkę. Konie idą dobrze, ja myśląc, że człowiek jakiś idzie przed końmi, żeby dyszlem w niego nie uderzyć, krzyczę ciągle hou! hou! a on nic, idzie taj idzie, a gdzie on, tam i konie, aż raptem zajechaliśmy zamiast w „przebród“ w młynówkę Karowskiego młyna. Ho! ho! myślę sobie, wiem co to znaczy, czort! patrzę, a jego już nie ma, „zczezł“ z przed koni. Powyciągaliśmy konie, i znów jedziemy, aż tu znowu biegnie przed końmi, wie pan co? indyk, dalibóg czarny indyk, myślę sobie pewnie uciekł żydowi Matesowi z pod lasa kiedy go wiózł na rzeź do Uhnowa, bo było to jakoś przed Hamanem. Indyk dreptał przodem, a konie za nim, stanąłem, złażę, myślę, że złapię indyka, a on mi szczezł z przed oczów, poznałem, że to był ten — bezpięty. Albo to on mnie jednemu na tej drodze takie psoty robił. Raz troje ludzi wracało z Uhnowa w zimie, póty ich wodził, aż zaprowadził w opary pod Chaniami, konie z saniami i dwoje ludzi zatonęli, jeden tylko chłop, co się cudem jakimś wyratował, opowiadał, że na własne oczy widział, jak mały człeczek w czerwonej czapce, wziąwszy konie za uzdy, wiódł je tak długo, aż zaprowadził na moczar.“ — „Czemuż go nie odpędził?“ — „Aha! kiedy mu nogi spętało i język“. — „Pewne był napity“. — „Ta był, lecz jak mówił, tylko trochę“. — Wtem ponad głowy nasze przeleciał ptak jakiś duży, zrazu myślałem, że to sowa, lecz wnet po donośnym, gardłowym głosie poznałem lelka kozodoja, zwanego ślepowronem najmylniej, bo lelek należy do rodzaju jaskółek (nocnych), gdy właściwy ślepowron jest rodzajem czapli. — „Wie pan, co ludzie o tym ptaku mówią, a nazywają go „hajworonem“, że on ślepy nic nie widzi ani w dzień ani w nocy, nocą tylko lata, a jako ślepca wodzi go mały ptaszek przed nim lecąc. Hajworon ciągle się odzywa: ga! ga! grubym głosem, a ptaszek naprzód lecąc piskiem go prowadzi. Ten ptak doi krowy i kozy, ztąd nazwany kozodojem, lata po polach i łąkach, i szuka krowy lub kozy leżącej, ptaszek go cicho podprowadza, a on ssie, czasem nawet do obory zaleci“. Nie tylko lud prosty, ale nawet dawni przyrodnicy spisali o nim baśnie. Nowoczesne badania wyjaśniły dokładnie obyczaje tej nocnej jaskółki, nadto wreszcie jest znaną, by obszernie o niej mówić, nadmienię tylko, że istotnie po przebrzmieniu gardłowego głosu, który tylko lecąc z siebie wydaje, po owem gaaa! słychać wyraźny, cienki pisk na chwilkę, jest to pogłos tak jak to słyszymy u koguta.

Towarzysz mój spał jak zabity, ja zaś rozłożywszy się w wnętrzu sałaszu marzyłem o pińskich błotach, porównując je lub mozyrskie z tutejszemi. Na kilka godzin przed brzaskiem dnia zaszedł księżyc, czarna noc zaległa w około, ciepło było, na strop niebieski wypłynęły czarne, posępne chmury, atmosfera przepełniona była elektrycznością, w południowo-wschodniej stronie poczęły pomrugiwać błyskawice, znak to niezawodny długotrwałej pogody, przeciwnie gdy błyskawice ukazują się na stronie zachodniej, zagraża słota lub conajmniej deszcz. W różnych miejscach moczarów w oddali błysnęły ogniki, istni uwodziciele znużonych wędrowców. W tej chwili obudził się Wasyl, wskazałem mu owe ogniki, a on rzekł: „Mówią, że to pieniądze zakopane na błotach przez owych ludzi, co to uciekali przed Tatami, tak palą się, bo ich czort pilnuje, kto chce ich szukać, to go w błocie utopi, a dostać może tylko taki, co się nigdy nie spowiadał, ale takiego u nas nie ma.

(Ciąg dalszy nastąpi).

SŁOWO O WILKACH i ŁOWACH NA NIE W ROSSYI,

NAPISAŁ

R. Hoppe.

Lat już siedmnaście oddaję się w carstwie zawodowi leśnictwa i łowiectwa, żyję przeważnie w lesie, sądzę przeto, że zrobię przysługę czytającej publiczności opisem życia i łotrowania wilka naszego w Saratowie i gubernii Samarskiej niestety jeszcze bardzo pospolitego. Że on jest niesłychanie drapieżnym, przebiegłym a przytem płochliwym, wie o tem nie tylko doświadczony, ale nawet początkujący myśliwy, że wszakże nie jeden z nich uważa lisa za przebieglejszego i zmyślniejszego od wilka, to mniemanie takie jest według mego przekonania zupełnie mylnem. Że wilk w czasie gonu opuszcza gąszcze, i przemyka przez odsłonione halawy, to jeszcze wcale nie świadczy o jego głupocie. Miałem nieraz sposobność przypatrywać się na polowaniu z nagónką temu rozbójnikowi, stojącemu na wolnem miejscu, i przekonałem się, że lis w takim razie nie zachowuje się ostrożniej i rozmyślniej, jak on. Wilk wtedy co chwila staje, nasłuchuje i wietrzy na wszystkie strony, nim przesmykiem się wymknie, lub wyjdzie na linię strzelców. Wychodząc z gąszczu, wytyka tylko głowę, i rozpatruje się starannie w halawie, potem zwraca się w tył nasłuchując, o ile nagónka ku niemu się zbliża, często też kręci się w gąszczu tu i tam, a dopiero, gdy niebezpieczeństwo nań naciska, z rozwagą i jawną przytomnością umysłu albo pędzi w susach przez halawę, lub zwolna rekognoskując i wietrząc wykrada się. Stwierdziłem to niejednokrotnie, iż złą jest oznaką, gdy wilk wyjdzie wprost na halawę, stanie i wietrzy, wtedy zawsze prawie zwraca się w tył, i przebija się przez nagónkę. Nic nie znaczący, ale podejrzliwość jego rozbudzający przedmiot zniewala go do odwrotu lub do zwrotu na skrzydła. Znam wypadki, w których wilk się przyczaił, i przepuścił niedostrzeżony mimo siebie nagónkę, a potem zaraz umknął. Jeżeli wyżej twierdziłem, że najbłahszy podejrzany mu przedmiot nakłania wilka do ucieczki w tył lub na boki, to wcale nie zamierzam tem powiedzieć, że on lęka się głosów ludzkich, owszem wiem z doświadczenia, że najczęściej lekceważy je, ale i w takim razie używa niepospolitej przebiegłości, co stwierdzę niektórymi przykładami: 25 Października r. 1874 objechano w kniejach księcia Lieven sześć wilków, i tegoż

dnia urządzono na nie polowanie, zdołano wszakże w pospiechu zebrać tylko 35 gońców i 18 strzelców. O 11ej godzinie przed południem ustawiono już nagónkę i myśliwych na stanowiskach, poczem natychmiast ozwał się cichy sygnał rozpoczęcia gonu. Z konieczności nagónka i strzelcy stali z półwiatrem. Linia myśliwych miała wprost przed sobą na 250 kroków lekko wznoszącą się od południa ku północy, parowami przeciętą górę. Już może dziesięć minut szła przez miot nagónka, gdy pierwszy jej głos dał się słyszeć myśliwym. W tejże chwili spostrzegłem sześć wilków, jeden za drugim sznurujących ukośnie przez grzbiet góry wprost na myśliwego N⁰ 1. Zbliżywszy się ku niemu na mniej więcej 70 kroków, stanęła owa zacna gromadka. Gdyby był N⁰ 1, młody jeszcze i niedoświadczony myśliwy, wtedy spokojnie i cicho się zachował, to niezawodnie byłoby całe to grono rodzinne wyszło mu pod nogi. Nagle zagrzmiał strzał, nasz młody myśliwy nie mógł w nerwowem podrażnieniu swojem pohamować palca od prawej ręki. Na wszystkie cztery strony świata rozprószyły się wilki, dając niefortunnemu strzelcowi sposobność ścigania ich okiem, i zniknęły mi z oczów. Krzyki i kłapanie nagónki dało się już słyszeć na całej linii strzelców wyraźnie, gdy ogromny wilk ukazał się na górze, i po kilkakrotnem wietrzeniu wyszedł prosto na mego sąsiada N⁰ 4, starego, wytrawnego myśliwca. Po pierwszym jego strzale wilk padł, ale się zerwał, i w tejże chwili dostał drugi postrzał, który go już stale przykuł do ziemi. Zaraz po tym drugim strzale padły przy N⁰ 5tym dwa po sobie następujące strzały, nie miałem wszakże czasu zwrócić tam mego oka, bo widziałem przed sobą wilka, przemykającego z góry na mnie. Już się zbliżył może na kroków 80, wtem słyszę, jak mój sąsiad N⁰ 4 głośno uderzając ladsztokiem nabija strzelbę. „Tego wilka ty nie zabijesz“ — zawołałem w duchu, co chwila bowiem oczekiwałem w skutek tego hałasu odwrotu wilka w tył lub na boki, lecz nagle stanął, przypatrywał się dłużej jak minutę memu sąsiadowi N⁰ 4, i wyszedł (zaledwie oczom moim uwierzyć mogłem) w poprzednio wytkniętym kierunku, dosyć spiesznie wprost na mnie. Przypuściłem zwierzę — była to matka rodziny — na 25 kroków do siebie, i z dymem je zwaliłem. Gdy się miot zakończył, wynosił rezultat polowania 5 wilków, dwa stare, a trzy młode. Strzałów padło 7. Przekonałem się, że wilczyca moja z miejsca, w którem stała, mogła nie tylko widzieć myśliwego i strzelbę, którą nabijał, ale też swego małżonka, który wtedy właśnie ostateczną ze śmiercią walkę staczał, a jednak nie zwróciła się ani w tył ani w bok. Przytoczę jeszcze inny wypadek. Dnia 4 Listopada 1875 r objechano w ośmnasto-letnim dębowym drzewostanie, zajmującym około 300 hektarów przestrzeni, 11 wilków. Rewir ten otoczony jest od południa rzeką Wolgą, od północy drogą pocztową, idącą od cyrkułowego miasta Wolska ku Nikołajewskowi i Chwalińskowi. W kierunku północnym przedstawiały góry przeszło 400 stóp wysokości z 50-letnim drzewostanem, pokrajanym głębokimi parowami, widok imponujący. Wymieniona wyżej część lasu od rzeki Wolgi do gościńca Wolskiego, złożona z gór i parowów z 18-letnim drzewostanem, była od wielu lat stałą siedzibą kilku wilczych familii. Rok po roku upływał, a dotąd nie polowano na nie, aż wreszcie ja postanowiłem prosić mego przełożonego, generalnego pełnomocnika dóbr książęcych o upoważnienie do polowania. Pełnomocnik, doświadczony myśliwy zapewniał mnie, iż wie doskonale od wielu lat o tej kryjówce wilków, że wszakże z powodu gór i parowów trudno się tam dostać, jeżeli zaś chcę próbować takiego polowania, to on chętnie w niem weźmie udział. W celu spotkania się z owymi objechanymi 11 wilkami, zebrałem 85 gońców i 34 strzelców. Myśliwi stali mając bezpośrednio za sobą gościniec Wolski przed gąszczem, gońcy wzdłuż brzegów Wolgi wyczekując sygnału do gonienia. Około kwadransa upłynęło po sygnale, gdym usłyszał w głębi pierwszy głos nagónki, która właśnie weszła na grzbiet góry. W tej chwili padły dwa raźnie po sobie następujące strzały, potem jeden, dwa, trzy w nieregularnych odstępach czasu, wreszcie przestałem liczyć, grzmiało bowiem nieustannie na całej linii strzelców. Przed tem, i podczas strzałów przejeżdżały fury przez gościniec wzdłuż wszystkich stanowisk łowców, począwszy od prawego aż do lewego skrzydła. Zamknąć gościniec dla przejeżdżających nie mogłem, a inne stanowiska dla myśliwych były w tym miocie absolutnie niemożliwe. Zresztą zwykle stawiałem gońców i strzelców jak mi się zdawało najodpowiedniej, kazałem dobrze pędzić, i zawsze wilki wychodziły na strzał. Jeżeli mimo tego na jakiem polowaniu wilków mało poległo, to już nie ich była w tem wina, lecz myśliwych. Już prawie połowę miotu przepędziła nagónka, sroka co chwila siadająca i podlatująca zbliżała się ku mnie, byłem więc pewnym, że wilk przy niej się znajduje. Miałem stanowisko N⁰ 8 w małem dwie góry przedzielającem wyżłobieniu, i z niego baczne oko zwracałem ku sroce, która często spuszczała się na dęby, wyciągnąwszy głowę skrzeczała, ale wnet z wrzaskiem się zrywała. Z tej obserwacyi obudziły mnie krzyk i trzaskanie biczem, i spostrzegłem, jak chłop i baba popędzają konia zaprzężonego do zbyt obciążonych sań, pod górę je mozolnie popychając. Lubo nieustannie machałem ręką ku chłopowi, aby stanął, zdawał się nie rozumieć owych znaków, lub też nie chciał ich rozumieć, popędzał więc ciągle znużonego koniska śród pochwał albo przekleństw pod górę. — Już się był ku mnie zbliżył, a równie też sroka była tuż przy mnie. Rzuciłem groźne spojrzenie ku chłopu, i silnem poruszeniem ramienia wstrzymałem już obok mnie posuwające się sanie chłopskie, lecz na nieszczęście zachciało się właśnie w tej chwili chłopu wynurzać swej pięknej połowicy ciężkie żale, na które naturalnie odbierał od niej głośne odpowiedzi. Ani mi się marzyło, iżby wilk, którego zresztą zuchwałość znałem doskonale, mógł zbliżyć się teraz do gościńca i słuchać gwarnej rozprawy czułej pary. Nagle słyszę na twardym, zmrożonym śniegu dobrze mi znane kroki — był to istotnie wilk. Zwracam się na prawo ku halawie około 40 kroków odemnie odległej. Dobrą już chwilę czekam złożony do strzału, ale wilczysko stanął, wpatrywał się w stojące na gościńcu sanie i ich właścicieli, i jakby chciał lepiej słyszeć rozmowę, zbliża się tak, iż mógł dokładnie rozglądnąć się po całym gościńcu. Tu stoi i wietrzy przez dłuższy czas, już ramię mi zbolało od długiego trzymania strzelby, gdy wtem zwraca się na lewo, i przemykając zwolna i spokojnie wychodzi na połeć. Zagrzmiał strzał, i wpakowałem mu cały nabój lotek w zad. Wyjąc głośno przewalił się przez łeb, ale w mgnieniu oka był już (jak to się często dzieje) znowu na nogach i w gąszczu, tak szybko, iż niepodobna mi było drugi raz strzelić. To w skokach to zataczając się usiłował dostać się na grzbiet góry, około 100 kroków odległy. Tu wyprostował się dumnie wpatrując się w stojące na gościńcu sanie. Upłynęło kilka sekund, wreszcie zachwiał się, potknął, padł na bok, wyrzucił kilka razy łapami, i życie w nim zamarło. W czasie mego pobytu w Rossyi widziałem wiele wilków, ale takich rozmiarów ani widziałem, ani

na strzał dostałem. Rezultat polowania tego dnia wykazał cztery wilki tylko, a nazajutrz znaleziono dwa martwe. Bardzo licho strzelano, a padło strzałów w tym miocie 28.

Przykład, iż wilk przenosi zdobycz nad całość własnej skóry, raz mi się tylko tu wydarzył w jesieni roku 1876. W miesiącu Październiku tegoż roku nie było jeszcze śniegu, deszcz, który byłby nas w lecie uszczęśliwił, lał teraz jak z cebra, a drogi były prawie nie do przebycia. Dnia 20go Października musiałem towarzyszyć w sprawie służby generalnemu pełnomocnikowi dóbr księcia Lieven, panu baronowi Behr. Dosyć lekki w pięć koni stepowych zaprzężony wóz zaledwo wolno i w ślimaczym kierunku mógł postępować. Oddaliliśmy się od głównego punktu dóbr może na milę, gdy służący barona, siedzący na koźle, zwrócił uwagę naszą na wilka, leżącego może na 200 kroków w polu. Prócz strzelby nabitej śrótem N^0 4, którą służący trzymał w ręku, nie było innej broni palnej. Jakkolwiek memu przełożonemu i mnie podjechanie i zabicie wilka wydawało się epizodem z tysiąca i jednej nocy, to jednak postanowiliśmy, mimo nader rozmokłego gruntu, podjechać ile możności najbliżej ku rozbójnikowi choćby tylko dla tego, aby go kilku śrótami na dalszą drogę obdarzyć. Baron wziął strzelbę w rękę, ja pochyliłem się ku woźnicy, aby mu wskazywać kierunek podjazdu. Wilk zdawał się spokojnie spoczywać, skoro jednak zboczyliśmy z drogi na pole, podniósł łeb nieco, ale natychmiast opuścił go znowu ku ziemi. Tak zbliżyliśmy się może na 100 kroków, i wtedy spostrzegłem, że łotr zajęty myszołowstwem. Z łbem w górę wzniesionym, spożywał z widocznem zadowoleniem wygrzebany przysmaczek. Już byliśmy ledwo na 80 kroków od niego oddaleni, a jeszcze nie zdawał się mieć zamiaru umykać ku lasowi na 150 kroków odległemu, więc coraz bliżej docierał nasz ekwipaż. Na 60 kroków podniósł się, przypatrzył się nam przez chwilę, i począł znowu spokojnie drapać i grzebać, a tymczasem podjechaliśmy znowu 20 kroków. Trudno już było bliżej się podsuwać, więc też baron przygotował się do strzału. Gdyśmy już byli na 40 kroków od niego, jeszcze leżał na brzuchu, ale gdy woźnica konie wstrzymał, wtedy dopiero powstawszy bacznie nam się przypatrywał. Po strzale rzucił się gwałtownie w bok, ale wtedy otrzymał drugi postrzał. Poczem umknął, ale kilkakrotnie wstrząsał się zataczając i znikł w gąszczu. Rozpatrzyliśmy miejsce, na którem leżał, pokazało się, że znalazł gniazdo mysie, i wyżarł je całe, a w pobliżu upatrzone już było drugie. Śniadanie to zapewne smakowało mu wybornie, dla tego nie chciał z narażeniem życia porzucić drugiego dania. Ponieważ pierwszy postrzał dostał w kark i głowę, więc zapewne niedaleko uszedł. Ale zawiedziony byłem w tych moich nadziejach, albowiem dopiero po kilku dniach znalazł go chłop w odległości półtory mili od miejsca strzału jeszcze trochę żyjącego, i przyniósł go baronowi. Nie z głodu narażał wilk w tym wypadku swe życie, bo właśnie w tej porze grasował tu pomór na bydło, nie brakło więc wilkom gotowej pastwy.

KRONIKA.

Wielka-wieś 1. Czerwca.

Zdarzył mi się wypadek w dziedzinie fizyologii zwierzęcej dosyć rzadki, o którym udzielam wiadomości sz. Redakcyi, sądząc, iż on nietylko myśliwych, ale też fizyologów interesować może. Piesek wyżeł urodzony przy końcu Lutego b. r. za piecem piekarskim na folwarku, zwykł był na noc wracać na owo miejsce swego urodzenia. 12. Maja, gdy folwark burzono, rozwalono komin i piec piekarski, nie uważano, że piesek się tam znajdował, i przysypano go gruzem. Sądzono, że go skradziono, szukano, obiecywano nagrodę, ale na próżno. 24. Maja, zatem w 11 dni przy usuwaniu gruzu znaleziono pieska jeszcze żywego mimo, iż przez 11 czy 12 dni ani jadł ani pił. Był tak osłabiony, że na nogach utrzymać się nie mógł, oczy już miał nadpsute. Gdy mu dano mleka, pił je, poczem wstał i poszedł do stajni, gdzie go zwykle karmiono. Po tygodniu wrócił piesek do sił i do zwykłej wesołości, jest jeszcze chudy, ale zapewne się wychowa. *Jan hr. Stadnicki.*

Odbieramy następujące pismo: „Geehrte Vereinsleitung! Indem wir uns erlauben 1 Exemplar des Vereinsorganes sammt Statuten zur geneigten Durchsicht und Würdigung zu übermitteln, erlauben wir uns mit kollegialem Grusse um werkthätige Unterstützung unseres Vereines mit dem Versprechen zu ersuchen, dass wir unserseits desgleichen in jeden vorkommenden, einen geehrten Verein betreffenden Angelegenheiten dankbarst zu Gegendiensten stehen werden. Zugleich beehren wir uns mitzutheilen, dass von jeder Auflage des Vereinsorganes 1 Exemplar an die g. Vereinsleitung seinerzeit eingesendet werden, wogegen um Mittheilung der jederseitigen Vereinsorganes bestens gebeten wird.

Der mährische Jagd- und Vogelschutz-Verein
Brünn den 30 Mai 1882.
J. Kloth, Obmann. *Mann*, Schriftführer.

Na tę odezwę odpowiadamy z całą gotowością koleżeńskiej usługi i witamy nowo zawiązane w monarchii Towarzystwo łowieckie z szczerem życzeniem powodzenia, oraz polecamy czytelnikom „Łowca“ Pismo tegoż Towarzystwa pod tytułem: *Mittheilungen des mährischen Jagd- und Vogel-Schutzvereines*, którego pierwszy numer tak formą jak treścią chlubnie się zaleca.

Muzeum im. Dzieduszyckich składa p. St. Larysz Niedzielskiemu szczerą podziękę za przysłaną łaskawie srokatą wronę. Jestto ciekawa odmiana, nie wywołana wszakże zmięszaniem się wrony z sroką. Takie krzyżowanie się dwóch odrębnych gatunków ptactwa wydarza się tylko u głuszców i cietrzewi, pokrewnych sobie, a potomstwem tego krzyżowania się, nader rzadkiego, jest głuszec mniejszy *(tetrao medius, Rackelhahn)*. Odmiany u wron zdarzają się począwszy od zabarwienia srokatego aż do przeważnie lub zupełnie białego.

W Hnilicach, w pow. Zbaraskim, odbyło się polowanie nakazane z urzędu na wilki, znaczne tam szkody czyniące. Na polowaniu tem złowił chłop młodego wilka, a p. Jarosław Borkowski przesłał go do Muzeum im. Dzieduszyckich, które za ten dar niniejszem szczerą składa podziękę.

Jedynie z powodu nieuwagi nie nadmieniono pod artykułem Herrmana: „Kilka słów o łowach i stosunkach łowieckich na Wołyniu“, umieszczonym w poprzednim numerze „Łowca“, iż wzięty on był i przełożony z czeskiego czasopisma łowieckiego: „Lověna“. Wychodzi to pismo jako dodatek przy czasopiśmie: „Háj. Casopis pro lesníky, myslivce a přátele přírody. W Kraucemburku,“ pod redakcyą Jana Doležala. Prenumerata roczna wynosi 4 złr. 60 ct. Niemożemy tu rozwodzić się nad znakomitemi zaletami tego Pisma, powiemy tylko, iż według naszego mniemania należy ono do najlepszych i najpożyteczniejszych. Polecamy je czytelnikom naszym z przekonaniem, iż im przysługę tem czynimy.

Wpisali się w poczet członków Tow. łowieck.

Kazecki Tomasz.
Kozakiewicz Teodor.
Lewicki Włodzimierz.

Popieluchy (Pobereże), Maj.

Dziękuję za udzielone mi objaśnienia co do jamników, puszczę się odważnie na wytwarzanie mięszańców, jednak z pewną obawą o życie moich jamniczek. Zawiązawszy stosunki z „Łowcem“ idzie mi nie tylko o własne sprawy, lecz także o zainteresowanie się Towarzystwa łowieckiego naszą okolicą, pod względem ochrony zwierzyny zacofaną. Podobno głos mój jest pierwszym z tych stron, a bliższy z nami stosunek mógłby być dla nich korzystnym, z tej więc przyczyny rzucę kilka słów o sytuacyi tej okolicy. Żyjemy na pograniczu Bessarabii i Chersońskich stepów, pomiędzy Bohem a Dniestrem, kraj przecięty w kierunku tych rzek gęstymi strumieniami, nawlekającymi wioski dość liczne, w których się te strumienie zatrzymują na lichych młynkach. Ale ztąd powstają dla kaczek stawy, trzciny, wierzchowiny, dla kszyków, dubeltów, ficlauzów błota, u nas zwane rudami. Ziemia nader urodzajna, pagórkowata, często z dosyć gwałtownemi pochyłościami, pokryta lasem liściowym, zwykle ugrupowanym w kawałki różnych kształtów i przestrzeni. Jestto więc okolica jakby utworzona dla myśliwstwa, bo ptak ma schronienie, a zwierz czworonożny obok ochrony żer pożądany. Sarny nie wychodzą na polany, bo mają dosyć pożywienia pod drzewem, zimę przepędzają w dębinach, gdzie wypasają się żołędziem. Zając ma blisko skraiska, obsiane pięknem zbożem, rzepakami, burakami i trawami pastewnemi. Przy tem wszystkiem jednak mało mamy zwierzyny! Dla czego? O wadliwości praw i egzekucyi ich nie chcę mówić, bo to od nas nie zależy, ale nie jedno moglibyśmy uczynić dla poprawy i reformy naszego łowiectwa. Kłusownicy, wilki, lisy, drapieżne ptactwo, psy wiejskie, koty — oto nieprzyjaciele, przeciw którym z całą energią powinien każdy właściciel ziemi działać. Szkodliwszemi są jeszcze u nas nieprzestrzeganie pory łowieckiej, wybijanie sarn (kóz), trzymanie chartów i psów gończych nie w zamknięciu, zwyczaj jeżdżenia w pole z wyżłem. Nadto właściciele ziemi niemyśliwi dozwalają oficyalistom, znajomym urzędnikom polować bez ograniczenia. O Hubercie święty! zlej światło na tych moich kochanych sąsiadów, których zaślepienie tak czarne ogarnia, a „Łowiec“ niech i dla nas pracuje! — Dołączam mój roczny rachunek. Ubiłem: kszyków 59, dubeltów 6, ficlauza 1, słonek 2, przepiórkę 1, dropia 1 (kulą), kaczek 19, chruścieli 8, kurkę 1, kulika 1, orła 1, jastrzębi 5 (straż leśna 30), lisów 20, rogaczy 14 (7 na podjazdach), zajęcy 61. — Razem 193 sztuk. W Maju rozpoczęła się czynność jamników. Prześlę wkrótce ciekawe zdarzenie z przeszłej wiosny. Przy polowaniu na młode lisy, wyciągnęły jamniki z jednej nory 16 lisików, byłem przy tem, i rachowałem je sam. *Jan Brzozowski.*

Michowa Wola, za Łupkowem.

Zemsta wilka. W połowie Kwietnia b. r. jeden z tutejszych chłopów, prowadził za sobą wcześnie rano małą szkapinę, a raczej dwuletnie źrebię, jak tu nazywają stryżaka, ciągnącego malutką z krótkimi zębami bronę, której odwrotna strona wyglądała jak saneczki, aby mogła być z łatwością z miejsca na miejsce przeniesioną. Chłop dążył w góry ku polance, zasianej owsem, wtem w przeciwnej stronie potoka nad samym brzegiem jego spostrzegł wilka operującego ułowioną zwierzynę. Nie namyślając się przywiązuje kobylinę do olchy, a sam dąży z nieodstępną siekierą w celu odbicia wilkowi łupu. Gdy się zbliżył wilk kłapnął kilka razy paszczęką, i porzucił sarnę, którą właśnie począł pożerać, po zwyczaju wypatroszywszy ją naprzód. Wilk zabierając się do pożerania ofiary zawsze poczyna od brzucha, na razie nie pożera trzewiów, jako mniej smacznych, i zostawia je dla innych drapieżców lub dla siebie na później, gdy głodem zniewolony powraca do pozostałych resztek biesiady. Obżarłszy się do syta, rozwłócza dla igraszki patrochy daleko po krzakach. Chłop rad ze zdobyczy bierze ją na ramiona, i brnie z nią przez potok w celu złożenia na swych brono-sankach. Jakżeż srodze się rozczarował, zastaje kobylinę rozciągniętą na ziemi. martwą z przeżartym brzuchem i wywleczonemi trzewiami. Długo stał osłupiały niemogąc pogodzić się ze swoją smutną dolą, oprzytomniawszy nieco spostrzega o kilkanaście kroków stojącego tego samego ogromnego wilka, patrzącego z widocznem zadowoleniem na swoje dzieło. Rozjątrzony gazda skoczył z podniesioną siekierą ku niemu, ale przezorny basior znikł mu z oczów w gęstych krzakach jałowcowych. Sarnę sprzedał mi, ale oraz zaklinał się, że już nigdy łupu wilkowi odbierać nie będzie.

P.

Krasiczyn, w Maju.

W artykule: „O stanie sarn w Galicyi“, podnosi p. K. Hostoński, że najnowsze badania stanowczo stwierdziły ruję sarn w Grudniu i Styczniu, że łączenie się siut z rogaczami w Sierpniu jest zupełnie bezskuteczne. O ile mi wiadomo właśnie przeciwnie rzecz się ma. Z całego szeregu autorów niemieckich, o tej sprawie piszących, jeden tylko Dietrich aus dem Winckell twierdzi tak jak p. Hostoński, inni zaś, a między nimi znakomici zoologowie i myśliwi-badacze, jak Dziezel, Meyerinck, Dr. Ziegler, a szczególnie prof. Dr. Bischoff są przeciwnego mniemania. Wspomniany Winckell oświadczył w dziele swojem, iż tak długo wierzyć będzie w ruję Grudniową, dopóki się komu nie uda wyjaśnić, dla czego w okresie 40-tygodniowym brzemienności sarn, aż do połowy tego czasu owa ciężarność spostrzedz się nie daje? Otóż Dr. Ziegler, a następnie prof. Dr. Bischoff rozjaśnili to dziwne zjawisko na podstawie ścisłych badań anatomicznych i fizyologicznych, i wykazali dowodnie, że ruja prawidłowa tylko w Lipcu i Sierpniu odbywać się może, inny zaś czas jako wyjątkowy uważanym być powinien. Dowody Bischoffa zanadto są obszerne, byśmy je tu przytoczyć mogli, podaję więc tylko końcowy ustęp, w którym autor przywodzi, że embryo sarny w pierwszym okresie brzemienności obejmuje zaledwie jedną dwunastą część linii paryskiej, w średnicy. W obec takiego twierdzenia nie trudno zrozumieć, dla czego badacze dawniejsi nie używając mikroskopu tak twardo stali przy rui grudniowej, mieniąc ciężarne siuty jałowemi jedynie z tego powodu, że zarodków nie znachodzili, których gołem okiem znaleść nie mogli. Zresztą nawet badacz uzbrojony w mikroskop łatwo w śluzie macicznym zarodku mikroskopicznych rozmiarów nie dostrzeże. Od siebie dodaję że jeżeli p. Hostońskiemu czterdziesto-tygodniowa brzemienność i nierozwijanie się zarodka widome dla nieuzbrojonego oka przeciwne prawom przyrody się być zdają, to i podwójna ruja, prawdziwa i ślepa, jakoteż cichość i niewidoczność rui -zimowej, brak w owej porze namiętności płciowej u bezparostkowych rogaczy wypada nazwać zagadkowemi i nienaturalnemi zjawiskami. Moje osobiste doświadczenia nie sięgają tak daleko, bym je odważył się kłaść na szali, celem więc mej skromnej korespondencyi jest prośba do hr. Kaź. Wodzickiego, aby oparty na swoich długoletnich doświadczeniach zdanie swoje w „Łowcu“ objawił, i mnie z p. Hostońskim pogodził, a raczej objaśnił nas, które twierdzenie prawdziwem nazwać należy. *Kazimierz Remiszewski.*

Kolbuszowa, 28 Maja.

W lesie Dąbrowieckim, powiecie Tarnobrzeskim, polowano 22 Maja, a leśniczy Pilz zabił rogacza. O tem przekroczeniu ustawy zawiadomiono c. k. Starostwo Tarnobrzeskie.

Komitet Tow. łow. na powiat Kolbuszowski.

Odbieramy od Wys. c. k. Namiestnictwa **Wykaz ubitej w Galicyi zwierzyny w r. 1881**, którego cyfry summaryczne podajemy.

Z pożytecznej zwierzyny: jeleni 21, danieli 7, sarn 3764, kozic 0, dzików 827, zajęcy 38.467, królików 48, świstaków 0, głuszców 36, cietrzewi 385, jarząbków 838, pardw 37, kamionek 59, bażantów 951, kuropatw 12.768, przepiórek 21.150, słonek 5203, kszyków 10.090, dzikich gęsi 284, dzikich kaczek 10.073.

Z szkodliwej zwierzyny; niedźwiedzi 15, wilków 94, rysiów 39, lisów 4044, kun 519, tchórzów 571, wydr 155, kotów dzikich 42, borsuków 216, orłów 257, puchaczów 269, jastrzębi, sokołów, krogulców 4731, sów 1363.

Jak z poprzednich lat dajemy cyfry ważniejszej i rzadszej zwierzyny:

Jelenie: Biała 1, Chrzanów 14, Dolina 1, Kałusz 2, Nisko 3.

Dziki: Biała 5, Bóbrka 35, Bochnia 10, Bohorodczany 15, Borszczów 15, Brody 14, Brzesko 1, Brzeżany 5, Brzozów 3, Buczacz 20, Chrzanów 1, Czortków 18, Dolina 89, Drohobycz 25, Gródek 9, Horodenka 8, Husiatyn 9, Jarosław 10, Jasło 6, Jaworów 2, Kałusz 33, Kamionka strumiłowa 40, Kolbuszowa 4, Kołomyja 7, Kosów 10, Łańcut 9, Limanowa 6, Lisko 10, Lwów 9, Mielec 8, Mościska 18, Myślenice 6, Nadworna 8, Nisko 21, Nowy Sącz 9, Pilzno 1, Podhajce 8, Przemyśl 26, Przemyślany 15, Rawa 8, Rohatyn 12, Ropczyce 6, Rudki 11, Rzeszów 6, Sambor 3, Sanok 4, Skałat 21, Sokal 52, Stanisławów 6, Staremiasto

8, Stryj 12, Tarnobrzeg 30, Tarnów 2, Tłumacz 15, Turka 1, Wadowice 2, Wieliczka 1, Złoczów 20, Żółkiew 12, Żydaczów 40, Żywiec 7.

Niedźwiedzie: Bohorodczany 4, Dolina 1, Kosów 1, Nadworna 2, Nowytarg 2, Stryj 5.

Wilki: Borszczów 6, Brody 6, Buczacz 3, Dolina 3, Jarosław 4, Kamionka strumiłowa 5, Kołomyja 2, Kosów 11, Krosno 4, Lisko 3, Nadwórna 2, Rawa 5, Ropczyce 3, Skałat 1, Sokal 7, Staremiasto 4, Stryj 4, Tarnobrzeg 3, Turka 11, Zbaraż 4, Złoczów 3.

Rysie: Dobromil 5, Dolina 1, Kałusz 1, Nadwórna 19, Nowytarg 7, Stryj 6.

Żbiki: Bohorodczany 2, Brody 1, Dolina 15, Jaworów 6, Kałusz 2, Lisko 2, Stanisławów 1, Stryj 2, Tłumacz 1, Wadowice 1, Żółkiew 9.

Głuszce: Dolina 6, Kałusz 2, Kosów 16, Limanowa 1, Nadwórna 4, Nisko 2, Nowytarg 2, Stryj 3.

Cietrzewie: Biała 1, Brody 3, Chrzanów 153, Dolina 25, Kałusz 14, Kamionka strumiłowa 20, Kosów 3, Limanowa 35, Nadwórna 18 Nisko 12, Rawa 10, Stanisławów 20, Staremiasto 6, Stryj 5, Wieliczka 10, Żółkiew 50.

Bażanty: Biała 6, Brzesko 16, Chrzanów 141, Jaworów 1, Łańcut 15, Rzeszów 6, Tarnobrzeg 550, Tarnopol 25, Wadowice 161, Zaleszczyki 30.

Znajdujemy wzmiankę, że Starostwo Krakowskie wykazu łowieckiego nie prowadzi, ośmielamy się zapytać, z jakiego powodu?

Baczny czytelnik „Łowca" w zestawieniu owych sprawozdań urzędowych z lat czterech sam poczyni wnioski, wstrzymujemy się przeto od nich, moglibyśmy chyba powtórzyć uwagi robione w roku ubiegłym, mianowicie podnieść wątpliwości odnoszące się do kozic, świstaków, pardw i kamionek.

BIBLIOGRAFIA ŁOWIECKA.

Barthels A. Tydzień poleski. Lwów, 1879.
Bobiatyński Ignacy. Nauka łowiectwa. 2 tomy, Warszawa, 1823.
Coste. Przepisy praktyczne o hodowaniu ryb. Warszawa, 1855.
Cygański Mateusz. Myśliwstwo ptasze. Dzieło z XVI. w. wydał i przypisami objaśnił Antoni Waga. Warszawa, 1842.
Jarocki F. P. Zoologia czyli zwierzętopismo ogólne, tomów 5 Warszawa, 1825.
Kalendarzyk myśliwski. Nakładem hr. Rom. Potockiego. Lwów, 1876.
Kalendarz myśliwski. 1881. 1882. Jarosław. H. Bohuss.
Kamiński S. Poradnik (nowy) dla myśliwych na wytępienie różnych zwierząt drapieżnych. Warszawa, 1847.
Kluk K. Zwierząt domowych i dzikich osobliwie krajowych, historyi naturalnej początki i gospodarstwo. 2 tomy. Warszawa, 1795—1797.
Kozłowski W. Początki terminologii łowieckiej. Warszawa, 1822.
— Słownik leśny, bartny, bursztyniarski i orylski czyli Encyklopedya wiadomości leśnych. 2 tomy. Warszawa, 1846.
Kurowski W. Myśliwstwo w Polsce i Litwie. Poznań, 1855.
Łowiectwo obejmujące hodowanie i ochronę zwierząt i ptaków łownych, oraz tępienie zwierząt drapieżnych. Wykład nauczyciela leśnictwa w instytucie gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Marymoncie. Warszawa, 1860.
Leśniewski P. E. Rybactwo krajowe i kalendarz rybacki. Warszawa, 1837.
Leyen P. Polowanie na jarząbki z wabikiem. Przetłumaczył z niemieckiego Jakób Czerwiakowski. Warszawa, 1874.
Mylke W. Myśliwstwo krajowe. Warszawa, 1843.
Niewiadomski W. Życie i obyczaje zwierząt. Warszawa, 1873.
Nowicki M. dr. Kozica. Nakładem Stanisł. hr. Tarnowskiego. Kraków, 1868.
— O świstaku. Kraków, 1865.
Nowicki M. dr. Ryby i wody Galicyi pod względem rybactwa krajowego. Kraków, 1880.
— Zapiski z fauny tatrzańskiej. Kraków, 1867.
Ostróg Jan hr. Myśliwstwo z ogary. Kraków, 1859.
Ożegalski J. Uwagi myśliwskie dla wszystkich myśliwych. Kraków, 1879.
Pietruski S. K. Historya naturalna zwierząt ssących dzikich galicyjskich. Lwów, 1853.
— Historya naturalna i hodowla ptaków spiewających galicyjskich. Kraków, 1860.
Piórkowski J. O łowiectwie i ochronie zwierząt dzikich jakotež ptactwa. Warszawa, 1869.
Pol W. Rok myśliwca (z rysunkami Jul. Kossaka). Pozn. 1870.
— Obrazy z życia i natury. 2 tomy. Kraków, 1869—71.
— Pan starosta Kiślacki, tradycya myśliwska. Poznań, 1873.
Połujański A. Leśnictwo polskie. Cz. IX. Łowiectwo. Warszawa, 1862.
O potrzebie ochraniania zwierząt pożytecznych. Kraków, 1866.
Przewodnik myśliwca przez L. S. (iemieńskiego). Leszno i Gniezno, 1848.
Przyrodnik. Sześciotygodnik popularny. Lwów, 1871, 1872, 1873.
Ptasznik to jest wyjawienie sposobów łapania, obłaskawiania, pielęgnowania i rozmnażania, ptaków spiewających, z dołączeniem przepisów hodowania kanarków. Kraków, 1852.
Reuman M. Gospodarstwo łowieckie z historyą starożytną łowiectwa polskiego. Warszawa, 1845.
Słówko o myśliwstwie. Brody, 1874, 1875.
Szytter J. Poradnik dla myśliwych czyli o rozmaitych sposobach zabijania lub łowienia zwierząt. Wilno, 1839.
Ubysz A. Chart. Lwów, 1880.
Wałecki A. Systematyczny przegląd ryb krajowych. Warszawa, 1864.
Wodzicki K. hr. O sokolnictwie i ptakach myśliwskich. Warsz. 1858.
— Wspomnienia z życia łowieckiego. Lwów, 1881.
Wrześniowski A. Uwagi o układaniu wyżłów. Warszawa, 1879.
Zbiór ustaw i rozporządzeń tyczących się ochrony lasów i polowania. Lwów, 1875.

W Lipcu strzela się do jeleni, kozłów, ptactwa błotnego i wodnego, a od połowy miesiąca do przepiórek i dzikich gołębi.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.